Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

Rok IX — Warszawa, dn. 14 grudnia 1952 r. — Nr 50 (384)

BOGUSŁAW KOGUT

O DZIECIACH

W najbardziej słonecznym mieście — porcie pięciu mórz
myśl troskliwa czuwa wśród starych ścian Kremla
i nie gaśnie w płomieniach świtających zórz
gwiazda pięcioramienna.

Stąd drogi wiodą do krajów pięknie jących co dnia,
stąd światła biegną nocą w odzyskany step —
na bagnach uczy zasiewać życiodajny chleb
myśl ludzka jak pochodnia.

W kuźniach Donbasu i Magnitogorska
dłoń człowieka hartuje żelazne konstrukcje miast.
Gdzie dawniej wietrzna pogoda piaski po polach niosła
dziś miasto sięga gwiazd.

W tym mieście, w młodej alei ogrodnik na prędce
wpina liście winogron w biel okiennych ram —
studenci instytutu wziąwszy się za ręce
pieśń o wiośnie śpiewają — a tam...

Nie gasną paleniska w wojennych pracowniach;
płyną do tygla morza ludzkiego potu,
jarzy się w kolbach na żółtych językach ognia
preparat co ludzką śmierć ma stopić na płynne złoto.

Dudnią fabryki śmierci — a z ich czeluści czarnych
wychodzą kadłuby bombowców — latające trumny;
mnożą się dzieciobójców żelazne eskadry
by deszczem śmierci w nasze domy runąć.

Dziecko które ma w oczach śmiech
w parku liść żżółkły do ust podnosi czule,
w szkolnym kajecie — na poplamionej bibule
kredką rysuje pierwszy wiersz —

dziecko, które będzie w swoim kraju poetą,
dziecko, które będzie na swej ziemi człowiekiem,
dziecko, które pierwszy raz żywą uniosło powiekę
kiedy konało Ghetto —

to dziecko wierzy w opiekę naszych rąk i serc;
nie zna łun innych patrząc w purpurowy zachód,
wieczór sen tuląc do powiek nic nie wie o strachu,
rankiem idąc ulicą nie wie co to śmierć.

Słuchajcie poeci dobrej woli,
słuchajcie kowale twórczych rąk,
wy, którzyście słyszeli skowyt nocnych bomb
i wiecie jak śmierć bliskich boli —

słuchajcie: Chodzą dzieci po ulicach
uśmiechnięte dzieci chodzą parami;
ich dłonie wznoszą domy kruche w piaskownicach
a wiatr liście kasztanów cicho rzuca na nie.

W naszych miastach czerwonych od cegły i słońca
śmiech dzieci spaceruje u parkowych bram,
w naszych wsiach — przed oczyma dzieci mądra książka —
a tam...

Na ulicy Paryża dziewczęta czarnookie
szukają w śmietniku resztek zgniłego banana.
Nim siny neon spojrzy na śmietnik z wysoka,
noc głodne dzieci pod most sekwański zagania.

Na ulicach Paryża — w szpalerach policyjnych galonów
nosiciel wojny przyjmuje defiladę;
spod mostów wyszły na bulwar dziewczęta bose i blade
— „Generale morderco wracaj do domu!"

Na ulicy Paryża chłopiec sprzedający „HUMA"
w bramie się chowa na stuk policyjnych kroków,
a nocą na parkanie jawi się twarz Martina,
żołnierza, który wybrał pokój.

W spółdzielczej wsi nad modrą Wisłą,
w kołchozie nad cichym Donem
młode życie wiosną zakwitło ,
spokojem rodzinnych domów.

W gęstej wiosce nad żółtą Jang-Tse,
w gwarnym mieście nad bystrą Wełtawą
młodzi ludzie pracują i tańczą,
dzieci beztrosko się bawią.

Z miast, które wojnę przetrwały
wysiłkiem rąk ścieramy ślady ran,
z trudów i marzeń powstają
dni coraz lepsze — a tam:

W sercach nieludzkich czai się nienawiść,
w zapalnikach pocisków czyha śmierć —
by nasze ręce pracujące zabić,
by zabić pracę i pieśń.

Słuchajcie poeci ludzkiego przymierza,
słuchajcie ludzie sprawiedliwych dłoni,
ten, który wolność naszą wskrzesił i obronił
powiedział:

„POKÓJ ZOSTANIE ZACHOWANY
JEŚLI NARODY ŚWIATA
UJMĄ SPRAWĘ POKOJU W SWOJE RĘCE".

POKÓJ! NIGDY WIĘCEJ WOJNY!

25 lutego 1949 została rzucona myśl powołania Wszechświatowej Organizacji i Wszechświatowych Kongresów Pokoju. W ciągu niespełna 2 miesięcy w 72 krajach ponad miliard ludzi zgłosiło czynny akces do szeregów obrońców pokoju. Od tego czasu ruch — najpotężniejszy w historii — ogarnął całą ludzkość i Kongres dzisiejszy jest Kongresem *Narodów Świata*.

Wojna tkwi w celach, dążeniach, w napięciu złej woli znikomej tylko, ale potężnej garstki. Potężnej ilością nagromadzonych w jej ręku bogactw i środków — owoców cudzej pracy. Potężnej brakiem uświadomienia, inercją i ciemnotą, w jakiej wciąż jeszcze pogrążona jest część ludności niektórych krajów. Przeciwstawienie siłom zła potęgi jeszcze większej — oto zadanie wolnych i o wolność walczących narodów.

„Najpierwszym moim pragnieniem — mówił Jerzy Waszyngton — *jest widzieć wojnę, ową plagę ludzkości, na zawsze wygnaną z Ziemi"*. Dziś z jego kraju płyną skoncentrowane wysiłki zatopienia Ziemi we krwi jej synów. Ale równocześnie potępienie wojny stało się ideą przewodnią cywilizacji, wyznaniem wiary wszystkich prawdziwych jej przedstawicieli. Gdy rodził się imperializm, Emil Zola wołał: *„Rzuciliśmy wyzwanie możnym tego świata, wszystkim którzy, nie troszcząc się o ludzkie cierpienie, organizują wojny, aby moc swoją ocalić. Pomyślmy o wszystkich dzieciach, które śpią spokojnie w Paryżu, Berlinie, Londynie — na całym świecie, a które są już napiętnowane, przeznaczone by zginąć na polach bitew. Nie wolno, aby tak było. Potrzeba nam demokracji, solidarnej, opartej na prawach pracy, demokracji, która pozwoli na sprawiedliwy podział bogactw"*.

MIMO woli nasuwa się porównanie niebezpieczeństwa olbrzymiego wzrostu zbrojeń ze wszystkim, co nauka i technika mogłyby dać ludzkości, gdyby wykorzystano je dla sprawy pokoju. Wysiłki równe jednomiesięcznym tylko wysiłkom wojennym pozwoliłyby nawodnić Saharę. Za cenę jednego krążownika można zbudować 10 instytutów badawczych dla walki skutecznej z rakiem czy gruźlicą. Lecz kapitalizm niesie w sobie wojnę, jak chmura niesie burzę. Jeden naród nie może przed nią się uchronić. Ale akcja zbiorowa narodów pozwoli osiągnąć ten cel.

FRYDERYK JOLIOT-CURIE



B. Prorokow — Stalin to pokój



G. Lewicka, M. Dielow — Koreanka zbierająca podpisy pod apelem o pokój

MAMY do wyboru, albo zamknąć się w jakimś ghetcie ze zwolennikami paktów atlantyckich, dzieląc ich nienawiści i lęki, albo wystąpić otwarcie, w biały dzień, ze wszystkimi ludźmi wolnymi, którzy oczekują naszego świadectwa żywych i wolnych. Nie ma bomb dobrych i złych. Bóg nie stworzył ludzi i ich pracy, piękna ogniska domowego, płodności matek, niewinności dzieci, aby wydać cudowne dzieło stworzenia na pastwę rasy Kainów.

KS. JAN BOULIER

WOJNA nie jest trzęsieniem ziemi, ani orkanem. Wojna jest dziełem ludzi i ludzie mogą wojnie zapobiec. Nie można rozpocząć wojny nawet mając tysiące i setki tysięcy bomb, jeśli się nie zatruło sumienia milionów ludzi. Do wojny bowiem potrzeba żołnierzy. Jako pisarz znam siłę słowa, mówię to z dumą i goryczą. Słowo może dopomóc człowiekowi, by stał się bohaterem, pobudzić go do szlachetnych czynów, rozpalić w jego sercu miłość. I słowo może człowieka znieprawić, odurzyć go, stępić jego sumienie, pchnąć do nikczemnych czynów... Jako obrońcy pokoju musimy wystąpić stanowczo przeciw najbardziej niebezpiecznej, najbardziej śmiercionośnej broni — propagowaniu nowej wojny... Wierzę w rozum, wierzę w uczonego, który wszystkie swe siły poświęca wybawieniu ludzi od najgroźniejszych chorób. Wierzę w poetę, który płomieniem swego ducha rozświetla noce kopaczy i murarzy. Wierzę w ziarno w dłoni oracza i w serce matki, która wie co to znaczy dać życie i bronić życia. Nie dopuścimy do wybuchu wojny. Odwrócimy wyloty dział od piersi człowieka. W tym dążeniu jesteśmy jednomyślni — komuniści i katolicy, liberałowie i socjaliści, Rosjanie i Amerykanie, Anglicy i Chińczycy. Jako delegat narodu radzieckiego, narodu, który doświadczył wszystkich nieszczęść wojny i wojny z całego serca nienawidzi, ściskam dłonie tych, których się usiłuje przedstawić jako naszych wrogów, ściskam dłonie Amerykanów, Anglików, Francuzów — z niezachwianą wiarą, że nie ma siły zdolnej te dłonie rozdzielić.

ILIA ERENBURG

ZBRODNIE imperialistów nie świadczą wcale o ich sile, ale o ich słabości. Naród Chin kocha pokój. Mówi o tym dobitnie fakt, że w Chinach 224 milionów osób podpisało Apel Sztokholmski. Ale właśnie dlatego występujemy zdecydowanie przeciw agresji. Naród nasz już ponad sto lat walczy z agresorami, którzy grożą pokojowi i naruszają pokój. Historia narodu chińskiego na przestrzeni ostatnich stu lat jest historią walki o pokój.

KUO MO-ŻO

WIEMY, że są dwie Ameryki. Ameryka Wall Street, która wysyła młodzież swego kraju na śmierć w interesie bogaczy i Ameryka matek tych poległych, matek amerykańskich, które pisały do Trumana: oddajcie nam naszych synów! Istnieje Ameryka podżegaczy wojennych i tej nienawidzimy oraz Ameryka prostych, uczciwych ludzi, którzy wespół z milionami uczciwych, prostych ludzi na całym świecie wołają: ręce precz od Korei!

PAK DEN AI

NARÓD nasz walczy o kawałek chleba, którego brak znacznej części naszej ludności, walczy o postęp i oświatę, o niepodległość swego kraju. Oddzielić słowo pokój od słowa niepodległość znaczyłoby pozbawić je konkretnej treści i głębszego sensu. Przeciw krajom Wschodu, przeciw tym wolnym ziemiom, gdzie lśnią gwiazdy szczęścia całej ludzkości, gdzie powiewa sztandar przyszłości świata kieruje się dzisiaj propaganda wojenna. Miliony ludzi mego kraju kochają Związek Rad i kraje demokracji ludowej, kochają ich idee i sposób życia Są to przeważnie ludzie prości, masy pracujące miast i wsi. Lecz są to również znani działacze świata nauki, którzy pragną, aby kultura służyła narodowi. Są jednak ludzie, którzy nie lubią Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, nie sympatyzują z ich ideami i sposobem życia. Ludzie którzy nie znają braków i nędzy, jakie są udziałem naszego narodu. Ale i oni — z wyjątkiem garstki sojuszników imperializmu — nie chcą chwytać za broń przeciw tym krajom.

JORGE AMADO

DZIEŁEM ostatniej wojny było 40 metrów kwadratowych ruin na głowę mieszkańca Drezna, 24 metry na głowę mieszkańca Lipska... Istnieje bowiem w fizyce politycznej prawo, które sprawia, że agresja trafia w końcu tych, co ją rozpętali, i z równą co najmniej siłą. Marshall nie chciał oglądać ghetta w Warszawie pod pretekstem, że nie obchodzą go zniszczone miasta. Lecz żaden amerykański sprawca wojny nie zdoła oddalić wizji losu, jaki gotuje swojej ojczyźnie, niosąc zniszczenia w kraje innych ludzi. Nie mogliśmy ocalić miast niemieckich, byliśmy za słabi. Dziś obrońcy pokoju stanowią potęgę.

ARNOLD ZWEIG

KAŻDY Niemiec, który naprawdę broni pokoju, wie, że rząd Korei Północnej broni w Korei pokoju Niemiec i pokoju Europy. Spoglądamy na gołębia pokoju — symbol naszego ruchu — w locie nad Ziemią i wiemy, że los jego zawdzięczamy sile naszych pokojowych dążeń, sile ucieleśnionej w Związku Rad, „twierdzy pokoju — jak mówi pieśń — o którą rozbija się barbarzyństwo"

JOHANNES BECHER

U podstaw polityki państw atlantyckich leży zasada, że nigdzie na świecie nie wolno dopuścić, by utracili władzę ci, którzy ją posiadają obecnie. Rządy tych państw uważają za słuszną i niewzruszoną zasadę, że przeszło połowa ludności świata powinna być rządzona przez niecałą dziesiątą część. Ten system uznają za niezmienny i normalny stan świata. Wszelką jego krytykę w koloniach lub metropoliach piętnują jako wywrotową, wszelkie przeciw niemu powstanie — jako agresję. Niestety, w teorie te wierzą nie tylko ci, którzy z nich ciągną korzyści. Wierzy w nie rzeczywiście i szczerze wiele milionów porządnych ludzi w Anglii i Stanach Zjednoczonych. O nich właśnie musimy pamiętać, gdy torujemy drogę wiodącą do pokoju.

JOHN D. BERNAL

MY, Amerykanie, pamiętamy, że to na barkach białych nędzarzy Europy, na barkach tych, co z Europy przybyli budować Amerykę, oraz na barkach milionów Czarnych zostało wzniesione całe bogactwo Ameryki. Jesteśmy zdecydowani podzielić je w sposób sprawiedliwy pomiędzy wszystkie nasze dzieci. A nie życzymy sobie tych histerycznych głupców, którzy chcą nas wyprawić na wojnę. Mamy niezłomną wolę walki o pokój. Nie chcemy wyruszać na wojnę w niczyim interesie i przeciw nikomu. Nie chcemy wyruszać na wojnę przeciw Związkowi Radzieckiemu. Chcemy pokoju przeciw faszyzmowi. Chcemy pokoju i przyjaźni między wszystkim narodami.

PAUL ROBESON

NIGDY nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy wolność słowa i wolność przekonań tak będą zdławione w Stanach Zjednoczonych, jak dzisiaj. Dziś na tej wolnej ziemi nikt nie jest pewien możności pracy, uniknięcia oszczerstw i gwałtu, a nawet więzienia, o ile nie powtarza publicznie i bezustannie:

— że nienawidzi Rosji,
— że jest wrogiem socjalizmu i komunizmu,
— że całkowicie popiera wojnę na Korei,
— że gotów jest wydać każdą sumę pieniędzy na dalszą wojnę, zawsze i wszędzie,
— że gotów jest walczyć ze Związkiem Radzieckim, Chinami i każdym innym krajem, lub całą resztą świata razem wziętą,
— że pochwala użycie bomby atomowej i wszelkiej innej broni masowego zniszczenia i uważa za zdrajcę każdego kto sądzi inaczej,
— że nie tylko pochwala i uznaje to wszystko, ale jest gotów szpiegować swych sąsiadów i denuncjować jeśli myślą inaczej.

Już samo wyliczenie tych artykułów wiary, wykazuje ich absolutną obłędność. Cóż można uczynić, by narodowi naszemu przywrócić rozum? Większość ludzi powiada — nic. Należy siedzieć cicho; uchylić czoła przed burzą; gdy potrzeba — kłamać i przyłączyć się do dzikiej nagonki i kląć się na Boga, że nigdy, nigdy w swym życiu nie miało się sympatii dla walki chłopa rosyjskiego o wolność; że nigdy w swym życiu nie należało się do organizacji liberalnej, ani nie miało się znajomego, który należał; jeśli zaś tak się zdarzyło — było się głupcem skończonym, oszukanym i obałamuconym.

Pragnę postępu; pragnę oświaty; pragnę lecznictwa społecznego; pragnę godziwych płac i zabezpieczenia starości; pragnę zatrudnienia dla wszystkich i ubezpieczeń dla bezrobotnych i chorych; pragnę robót publicznych, służby społecznej i społecznego doskonalenia. Pragnę wolności dla mego ludu. A ponieważ wiem, tak jak i wy wiecie, że nie możemy mieć tego wszystkiego szerząc jednocześnie po całym świecie mord i pożogę dla zapewnienia wielkiej finansjerze olbrzymich zysków — dlatego właśnie zabieram głos wraz z milionami ludzi każdego narodu i kontynentu i wołam: POKÓJ! NIGDY WIĘCEJ WOJNY!

WILLIAM E. B. DUBOIS

O nadejściu tej ery mówił przed blisko stuleciem wielki poeta wolności i pokoju, Wiktor Hugo: „Niech więc żywi nadzieję chłop rosyjski i fellah egipski, proletariusz i parias, niewolnik murzyński i biały. Ich więzy tworzą jeden jedyny łańcuch. Ogniwa tego łańcucha wzmacniają się nawzajem. Ale gdy jedno z nich pęknie, rozpadnie się cały system. Stąd płynie solidarność despotów. Lecz powtarzam — wszyscy są skazani".

Wojna przyspieszyłaby tylko wykonanie wyroku. Ale wojna otchłań zniszczenia — nie może być również drogą do socjalizmu. Przeciwnie — każdy krok w socjalizm jest krokiem przeciw wojnie. Dlatego nasza praca jest budową pokoju.

O pokój walczą narody socjalistyczne. Pokoju pragną narody kapitalistyczne świata. Agresorska mniejszość musi być pokonana. POKÓJ ZWYCIĘŻY WOJNĘ.

ANDRZEJ SKIBA

Organizacja klasowa Watykanu

30 kwietnia 1937 r. ówczesny kardynał sekretarz stanu Eugenio Pacelli, wystosował list do ambasadora Niemiec przy Watykanie, von Bergena, zapewniając go o całkowitej zbieżności celów Stolicy Apostolskiej i hitleryzmu. Co prawda Jego Świątobliwość posługuje się „środkami duchownymi", ale ma pełne zrozumienie dla „środków nadzwyczajnych", do jakich ucieka się III Rzesza i całkowicie docenia konieczność ich stosowania.

Enuncjacja ta nie jest żadnym wyjątkiem. Przeciwnie — jest bardzo typowa, należy do niezliczonego szeregu wypowiedzi, w których papiestwo daje wyraz swych ścisłych powiązań politycznych i ideologicznych z faszyzmem, jako próbę utrwalenia władzy monopoli. I jeżeli na konsystorzach papieskich raz po raz wprowadzani są do naczelnych władz potężnego konsorcjum — kongregacyj i kolegium kardynalskiego — przedstawiciele kapitału finansowego USA i Niemiec oraz jego rzecznicy w innych krajach, to dzieje się tak dlatego, że kapitał finansowy niemiecki i amerykański jest całkowicie sfaszyzowany. Albowiem Łódź Piotrowa już od blisko stulecia zmieniła swą feudalną załogę i busolę na wielkokapitalistyczną.

W dziedzinie doktryny punktem węzłowym tej przemiany było ogłoszenie dogmatu o nieomylności papieskiej w dniu 18 lipca 1870. Przesłanką polityczną stało się wydarzenie, jakie nastąpiło o miesiąc później: w plebiscycie zarządzonym na obszarze Rzymu, ludność Wiecznego Miasta odrzuciła władzę świecką Następcy Księcia Apostołów. Upadła stara budowla feudalna. Za utrzymaniem państwa kościelnego padło 46 (czterdzieści sześć) głosów, przeciw — 40.785.

Od tej chwili datuje się era „środków duchownych". Papiestwo wchodzi w orbitę wielkich finansów, jego kapitały — najbardziej kosmopolityczne w świecie — rosną z zawrotną szybkością, a równolegle z tym płyną w świat „nieomylne" definicje społeczne. Linia klasowa Watykanu staje się krystalicznie jasna. W encyklice „Rerum novarum" Leon XIII proklamuje nietykalność własności prywatnej, która jest człowiekowi „przyrodzona" i dzięki której różni się od zwierzęcia. Olbrzymiej większości (tej nie różniącej się) zostaje pociecha, że, jak zapewnia Pius XII, „ubogim Bóg wyznaczył zaszczytne miejsce w Królestwie Niebieskim i łatwiej im o łaskę nadprzyrodzoną". Nie dziwmy się, że przy takich „środkach duchownych" zachodzi potrzeba użycia „nadzwyczajnych".

Wiosną 1945 świat święcił zwycięstwo nad faszyzmem. Kardynał patriarcha Portugalii odprawiał uroczyste nabożeństwo żałobne za Mussoliniego i Hitlera. Nie było wypadku, by Watykan potępił którąkolwiek ze zbrodni faszyzmu. I nie ma faszystowskiego zbrodniarza, któremu nie słałby słów uznania, czy współczucia. Błogosławił SS i czarne koszule, oprawców Oświęcimia i majdanka, domagał się łaski dla Greisera i Franka. Milczał, gdy mordowano Polaków — zwłaszcza gdy „nie różnili się" od zwierząt posiadaniem wielkiej własności.

Oburzenie byłoby jednak wnioskiem tylko połowicznym. Postawę Watykanu należy rozumieć. A fakty są oczywiste. Kościół katolicki działa w świecie, w którym się toczy ostra walka klasowa. I przedział klasowy biegnie wpoprzek całej organizacji kościelnej. Wiemy ilu księży walczyło i walczy z faszyzmem, ilu padło ofiarą, zginęło w obozach śmierci. Epoka wojen religijnych dawno już przebrzmiała. Poglądy religijne nie dzielą dziś ludzi. Dzieli ich przynależność klasowa.

Watykan stanowi władzę naczelną instytucji miotanej antagonizmem klasowym. W instytucji tej czynnik religijny przekuty został na ogniwo łańcucha dławiącego ludzkość. Wiara ludzi prostych stała się narzędziem czysto politycznych celów. Watykan w świecie dzisiejszym jest potęgą w strukturze swej coraz mniej różniącą się od koncernów Morgana czy Rockefellera. W ręku purpuratów, sprawujących w niej rządy, znajdują się wielomiliardowe kapitały i inne środki nacisku na skromnych podwładnych niższego szczebla. W ich ręku znajduje się najstarszy i najbardziej doświadczony wywiad polityczny i gospodarczy. A cnotą najwyższą w podkomendnej im armii nie jest czystość serca i gorącość wiary, ale ślepe, bezwzględne posłuszeństwo. Wzorem jest prałat z Wolbromia, nie kapelan szeregów walczących o pokój.

Jak burżuazja wyrzuciła za burtę sztandary wolności, równości i braterstwa, tak odrzucił Watykan sztandar miłości bliźniego i cnót Ewangelii. Tuczy się wiarą — żywą w szerokich rzeszach wyznawców, od dawna zamarłą w centrum religijnego wyzysku. O tej nierozerwalnej sprzeczności trzeba pamiętać rozważając każdy krok polityczny Watykanu i każde posunięcie wyższej hierarchii kościelnej w poszczególnych krajach.

Andrzej Skiba

ANTONI STEN

„BIAŁA KSIĘGA O WOJENNYM UKŁADZIE OGÓLNYM"

W DECYDUJĄCEJ dla historii Niemiec chwili, gdy Adenauer przez złożenie swego podpisu pod układami wojenymi w Bonn i Paryżu zamierza przypieczętować rozbicie Niemiec i przygotować wykorzystanie Niemiec zachodnich jako bazy amerykańskiej, Urząd Informacji Niemieckiej Republiki Demokratycznej opublikował **„Białą Księgę o wojennym układzie ogólnym"**. Zawiera ona obszerne materiały, naświetlające treść i cele obu przydługich, kilkusetstronicowych układów jak również omawia sytuację wytworzoną w Niemczech wskutek groźby ratyfikacji układów.

„Układ boński z 26 maja 1952 r. przekształca Niemcy zachodnie w protektorat — stwierdza Biała Księga.—W myśl postanowień układu ukonstytuuje się pewnego rodzaju „Konferencja Ambasadorów trzech mocarstw", a zatem stwarza się dla Niemiec zachodnich poza krajową instytucją rządzenia, powoływaną zazwyczaj dla sprawowania rządów w krajach **półkolonialnych.** Przez połączenie układu bońskiego z paryskim układem wojskowym i paktem północno - atlantyckim przewiduje się okupację Niemiec Zachodnich przez siły zbrojne trzech mocarstw oraz jakichkolwiek innych, przez te mocarstwa wyznaczonych państw, aż do roku 2.002. Dowódcom tych obcokrajowych wojsk przysługuje na mocy układów prawo ogłoszenia stanu wyjątkowego i przejęcia bezpośredniej władzy rządowej. We wszystkich zagadnieniach dotyczących wewnętrznoniemieckiego handlu oraz przywrócenia jedności Niemiec poddano rząd boński kurateli, którą dobrowolnie na siebie przyjął. Oznacza to, że we wszystkich zasadniczych sprawach polityki wewnętrznej i zagranicznej mają obcy imperialiści prawo ostatecznej decyzji".

Układ ogólny daje więc imperialistom amerykańskim prawo przekształcenia Niemiec zachodnich w **amerykańską kolonię wojskową,** w której Wall Street może się rządzić według swego uznania. Lecz nie dość na tym. Związany z układem ogólnym paryski układ o armii europejskiej nakłada na Niemcy zachodnie obowiązek oddania agresorom amerykańskim niemieckiej młodzieży jako kadr wojskowych, mocarstwom zachodnim zaś przyznaje prawo wykorzystania oddziałów niemieckich w jakiejkolwiek części świata. Theodor Blank, obecnie kierownik bońskiego urzędu wojskowego, desygnowany na przyszłego ministra wojny w rządzie Adenauera, w mowie wygłoszonej 16 czerwca 1952 przed studentami Uniwersytetu w Bonn stwierdził, że zamierza się wystawić w ciągu najbliższych dziesięciu lat sześćdziesiąt dywizji kosztem 200 miliardów marek.

Obydwa układy, boński i paryski, są zatem ostatnim etapem w procesie odnowienia militaryzmu niemieckiego w Niemczech zachodnich. Biała księga ujawnia przyczyny, które wpływały na tok tego procesu i jego przyśpieszenia. Stwierdza, że

„amerykańscy, angielscy i francuscy okupanci uważają niemiecki militaryzm ze względu na jego rozbójniczy i agresywny charakter oraz jego reakcyjną i faszystowską tradycję za najbardziej właściwe narzędzie w rozpętaniu planowej wojny. Uważają go za doświadczonego partnera w dyktaturze wojskowej w Niemczech Zachodnich oraz godnego zaufania pomocnika przy uśmierzaniu patriotycznego oporu innych narodów".

Ta polityka agresji amerykańskiej znalazła trafną ocenę w angielskim czasopiśmie „New Statesman and Nation" (24.V.1952 r.), które określiło dążenia Eisenhowera i Achesona jako chęć „utworzenia nowego i bardziej niebezpiecznego równoleżnika koreańskiego w sercu Europy".

Biała księga daje również głębokie naświetlenie historycznych tradycji militaryzmu niemieckiego, którego agresje i kierunek uderzenia były w pierwszym rzędzie skierowane na wschód. Podkreślając, że **Drang nach Osten** odgrywał decydującą rolę w ciągu całej niemieckiej historii wojen, wyjaśnia na podstawie bogatych materiałów przyczyny i powody, dla których obecnie w amerykańskich planach wojennych przeznacza się militaryzmowi niemieckiemu decydującą rolę w przygotowaniu ponownej agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej. Stwierdza, że obydwa układy można tylko wtedy należycie ocenić, jeśli się je rozpatrzy jako integralną i istotną część olbrzymiego spisku wojennego, przy pomocy którego amerykański kapitał finansowy usiłuje zrealizować swoje panowanie nad światem.

„Bezpośrednim celem, jaki monopole amerykańskie chcą przy tym osiągnąć, jest rozpętanie trzeciej wojny światowej w Europie" — stwierdza Biała Księga. Szeroko omówione są gospodarcze i społeczne skutki układu ogólnego, w szczególności jawne przejście w Niemczech zachodnich do produkcji zbrojeniowej i obniżenie produkcji pokojowej, co wywołuje kurczenie się pokrycia zapotrzebowań mas pracujących. Postanowienia układu spowodują wzrost nędzy i zubożenie coraz liczniejszych warstw ludności pracującej, podczas gdy garstce baronów węglowych i stalowych, zarabiającym na militaryzacji Niemiec Zachodnich, zapewnią coraz większe zyski.

Na specjalną uwagę zasługują postanowienia finansowe układu przewidujące utrzymywanie przez przeciąg 50 lat wojsk okupacyjnych. Wydatki związane z ich utrzymaniem w Niemczech zachodnich wynoszą licząc na głowę ludności kwotę 210 marek rocznie, czyli na rodzinę robotniczą z trojgiem dzieci wypadnie ponad 1.000 marek tytułem kosztów okupacyjnych w stosunku rocznym.

Globalna suma tych wydatków osiągnie kwotę około 10.8 miliarda marek rocznie czyli przeszło 70 procent łącznej sumy, wypłaconej w 1951 roku w całym przemyśle Niemiec Zachodnich na wynagrodzenie robotników. Gdyby został zawarty z Niemcami traktat pokoju, postanawiający wycofanie wojsk okupacyjnych z Niemiec, płace robotników mogłyby w 1953 r. być podwyższone o przeszło 70 proc.

Biała Księga oświetla równocześnie politykę państw, dążących do zachowania i utrwalenia pokoju, mobilizującą wszystkie postępowe siły do walki z ratyfikacją układów. Jest nią jasno wytknięta droga rozmów między czterema mocarstwami, oraz droga rozmów między przedstawicielami Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Niemiec Zachodnich.

Wytyczne tej polityki daje nota Związku Radzieckiego z 10 marca 1952 r. wysuwająca propozycje w sprawie zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami. Mówią one o zjednoczeniu całych Niemiec w jednolite, demokratyczne, pokojowe i suwerenne państwo, z którego wycofałyby się wojska okupacyjne. Byłyby to Niemcy, które nie zagrażają swym sąsiadom, nie biorą udziału w agresywnej koalicji, ale armią narodową zapewniają własną obronę. Związek Radziecki w dalszej nocie z 23 sierpnia 1952 r. wysunął propozycję zwołania w jak najbliższym terminie konferencji czterech mocarstw celem rozpatrzenia zagadnień traktatu pokojowego.

Idąc po linii wytycznych tej polityki Rząd i Izba Ludowa Niemieckiej Republiki Demokratycznej wysłały do Bonn delegację złożoną z przedstawicieli Izby Ludowej. Jej zadaniem było podjęcie z przedstawicielami parlamentu bońskiego wspólnych rozmów na temat przeprowadzenia zjednoczenia Niemiec.

Podjęta przez Związek Radziecki i Niemiecką Republikę Demokratyczną akcja w sprawie zjednoczenia Niemiec zyskuje coraz więcej zwolenników, wzmaga opór narodowy w Niemczech zachodnich przeciw samobójczej polityce Adenauera, przekształcającej Niemcy zachodnie w kolonię amerykańską. Kształtowanie się oporu narodowego, jego narastanie i ciągły wzrost Biała Księga dokumentuje obfitymi materiałami. Świadczą one wymownie, że:

„rząd Adenauera już dawno zasłużył na obalenie. Patrioci niemieccy muszą obecnie umieć wykonać ten wyrok historii — również wbrew woli amerykańsko - brytyjsko - francuskich mocarstw interwencyjnych w Niemczech Zachodnich".

Liczna reprezentacja Niemiec zachodnich, składająca się z przedstawicieli klasy robotniczej i chłopstwa, sfer mieszczańskich i inteligencji, która wzięła świeżo udział w obradującej w Berlinie Międzynarodowej Konferencji w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego, dała przekonywające dowody wzrastającego oporu narodowego w Niemczech zachodnich. Coraz szersze rzesze narodu niemieckiego protestują jak najostrzej przeciwko polityce Adenauera, skupionych wokół niego nechitlerowców i ich faszystowskich opiekunów zza oceanu.

Znalazło to wyraz w deklaracji uchwalonej na Konferencji w Berlinie, stwierdzającej, że:

„Naród niemiecki w przeważającej większości odmawia, w interesie swej egzystencji i niezawisłości narodowej, brania udziału w sojuszach wojskowych i w systemie paktów, które służą przygotowaniu wojny. Zjednoczone i miłujące pokój Niemcy będą popierały wszystkie propozycje i kroki, zmierzające do powszechnego rozbrojenia narodów".

Drogą do Zjednoczenia Niemiec jest wprowadzenie w życie propozycji Związku Radzieckiego oraz Niemieckiej Republiki Demokratycznej, domagających się zwołania konferencji czterech oraz przeprowadzenie ogólnoniemieckich rozmów. Propozycje te znajdują poparcie wszystkich miłujących pokój narodów, walczących o zapobieżenie groźbie odrodzenia militaryzmu niemieckiego i usunięcie zarzewia nowej wojny w Europie.

*

Pod naporem opinii publicznej parlament w Bonn odroczył dalszą dyskusję nad ratyfikacją wojennego dyktatu USA. Naród niemiecki odnotował nowy sukces w swej walce o zjednoczenie i pokój.

Antoni Sten

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Do towarzysza niemieckiego byłego więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych

Pamiętasz, Hans, kamieniołomy?
W obozie zeszliśmy się, w Guzen,
Gdzie z przerażenia nieruchomy
Kruszył się kamień, ale ludzie
Dorównać mogli niemym głazom
Surową i kamienną twarzą.

Pragnąłeś w Niemczech ucisk zmienić
Na wolność i otworzyć pięści.
Ja byłem z kraju, gdzie szubienic
Cień kładł się od promieni gęściej.
Drut jednakowo nas owijał —
I walka stąd, i wspólna przyjaźń!

Minęło kilka lat. Gdzie jesteś,
Dawny niemiecki towarzyszu?
Ciężar kamieni pod protestem
Przeciwko wojnie kładę. Słyszę,
Że Truman przejął krwawy spadek
I znów gotują nam zagładę.

Twórcy obozów wyszli z więzień:
Z chmury cyklonu twarz mordercy...
Znowu podkutych butów ciężar
Chce zmiażdżyć niepodległe piersi.
Kamienne przyjście wroga słysząc
Do ciebie wołam, towarzyszu!

Czy stalingradzki traktor wiedziesz
Po byłej ziemi junkrów? czy też Miasta
Podnosisz z ruin? Czy też w biedzie
w Trizonii żebrzesz? I urasta
Za tobą cień straszliwy, trupi —
Głód, bezrobocie, wojny upiór.

Gdziekolwiek jest, do walki stawaj!
Utrwala w dziejach ręka prosta
Braterski pokój — nowe prawo —
I wznosi na granicznych mostach
Przyjaźni łuk. Nie przejdzie faszyzm
Granicy tej — przyjaźni naszej.

GEORGE BIDWELL

ROBOTNIK BRYTYJSKI A POSTĘP I POKÓJ ŚWIATA

WALKA robotników brytyjskich na rzecz pokoju i postępu w świecie torowała drogę wszystkim wielkim osiągnięciom wewnątrz kraju. Na tle tego faktu i powszechnych pokojowych dążeń rozpatrywać należy ostatnie wydarzenia w Anglii. Obecna walka robotników angielskich wymierzona jest głównie przeciw wojnie i przygotowaniom wojennym, uważanym słusznie za źródło i przyczynę spadku stopy życiowej i ubezpieczeń społecznych, wzrostu podatków i wzmożonego ataku na wolności obywatelskie.

Nacisk opinii zmusił Labourzystów do głosowania w Izbie przeciw ratyfikacji traktatu w Bonn i odbudowie Wehrmachtu. Miarą siły tej presji jest fakt, że będąc u władzy Labourzyści niemal prześcignęli Churchilla w poparciu dla hitlerowskich generałów i nieudanych zresztą próbach urobienia pozytywnych nastrojów dla remilitaryzacji Niemiec Zachodnich.

Coraz więcej działaczy związkowych, intelektualistów i członków Labour Party wypowiada się za kampanią pokoju, skończeniem wojny w Korei i wycofaniem wojsk brytyjskich z Malajów, Egiptu, Kenii. Znamiennym przykładem jest Cecil Day Lewis, profesor w Oksfordzie, który od czasu wojny zdawał się odżegnywać od dawnych swych postępowych powiązań, teraz zaś na zebraniu Apelu Pokojowego Pisarzy oświadczył: „Naszym pierwszym zadaniem jest szerzenie idei, że opinia publiczna ma doniosły wpływ na sprawy wojny i pokoju. Powinniśmy raczej cieszyć się niż oburzać z powodu kampanii oszczerstw w prasie. Im bardziej się nas oczernia, tym więcej ludzie o nas słyszą. A do sprawy dobrej błoto nie przywiera na zawsze".

Dzieje brytyjskiej klasy robotniczej świadczą wymownie, że walka ludu przeciwko wojnie jest walką z główną przeszkodą postępu. Taki miała charakter walka przeciw wojnom wymierzonym w rewolucje burżuazyjne za granicą pod koniec XVIII i z początkiem XIX stulecia. Co prawda Francja rewolucyjna stała się wkrótce mocarstwem imperialistycznym, ale zwycięstwo koalicji antyfrancuskiej w 1815 r. było cofnięciem się wstecz. Essayista angielski William Hazlitt, żarliwy zwolennik Rewolucji Francuskiej, pisał o perspektywach klęski Francji: „Nie powitamy fanfarą takiej katastrofy, ani takiego triumfu. Z pogromu bowiem dobędzie się pełzająca i wciskająca się wszędy ćma despotyzmu, który zaleje po równi świat Zachodu i Wschodu dotykalnym wręcz mrokiem. Nie chcemy takiego końca, gdyż nie chcemy, aby tętno wolności bić przestało".

Hazlitt, podobnie jak Robert Burns, Byron, Coleridge oraz, w młodości swej Wordsworth i Southey, wiedzieli, że zwycięstwo reakcji na zewnątrz będzie także zwycięstwem reakcji w Anglii. W tym samym czasie robotnicy, toczący walkę o poprawę pogarszających się tragicznie warunków życia, stworzyli potężny ruch na rzecz pokoju. William Cobbett, Henry Hunt i inni radykalni przywódcy głosili dobrodziejstwa pokoju na każdym polu.

Podobnie było w połowie zeszłego wieku. Ernest Jones, przywódca Chartystów i wydawca „People's Paper" („Gazeta Ludu"), pisma, z którym współpracowali Marks i Engels, mówił o agresywnej wojnie z 1855 r.: „Wojna ta, prowadzona przez bogaczy i dla bogaczy, całym ciężarem swym pada na biednych. Wymaga krwi i pieniędzy, podatków i śmierci. A kto tego dostarcza? Klasy pracujące.

Żołnierzami są bracia i synowie biedaków, wyrywani co dnia z szeregów robotniczych... Z kieszeni robotnika płacone są podatki w postaci obniżki płac i zmniejszenia zatrudnienia... Tak ludzie pracy ponoszą koszty wojny".

Walka ludu z reakcyjnymi planami wciągnięcia Anglii do wojny domowej w USA po stronie właścicieli niewolników bezpośrednio oddziałała i wzmogła walkę o demokratyczne prawa związkowe w kraju. Organizacje stworzone dla wspomożenia zagranicznych rewolucjonistów przekształciły się w związki walczące o reformy i zdobyły rozszerzenie praw wyborczych w 1867 r. oraz praw związkowych w 1867 - 75 r. William Morris, głośny dekorator, poeta i socjalista wziął udział w ruchu przeciw zamiarom wszczęcia w latach 1876 - 78 r. imperialistycznej wojny z Rosją, co zradykalizowało gwałtownie jego poglądy.

Z tych walk przeciwko wojnie wyłoniła się solidarność klasy robotniczej w walkach wewnętrznych, zrodziły się trwałe związki z robotnikami innych krajów świata. W związkach tych angielski świat postępu widzi źródło siły dla swych obecnych zmagań i nadzieję pomocy w chwili, gdy zrzuci kajdany reakcji i ujmie w swoje ręce ster polityki i budowę przyszłości swojego kraju.

Bodźcem dla pierwszych prób robotników brytyjskich utworzenia niezależnych organizacji politycznych były wydarzenia rewolucyjne we Francji. Powstały „Towarzystwa Korespondentów", czerpiące natchnienie od Jakobinów, a Tomasz Paine napisał swą słynną rozprawę „O Prawach Człowieka". Bezlitosne represje zgniotły wątły jeszcze ruch, ale zostały fundamenty, na których ludzie pracy dalej budowali.

W czasie rewolucji greckiej z 1821 r. naród brytyjski wytworzył ścisłą więź z narodem Grecji. Byron, który gromił niesprawiedliwość w swym własnym kraju, jako członek Komitetu Greckiego poświęcił swój majątek i ostatnie lata swego życia na organizowanie walki wyzwoleńczej przeciw Turkom. Zmarł z wyczerpania na ziemi greckiej, o której wolność tak ofiarnie walczył, wołając w gorączce tuż przed śmiercią: „Naprzód! Naprzód! Odwagi! Za mną — nie bójcie się!"

Wódz rewolucyjny oddziałów włoskich, Garibaldi był bożyszczem robotników londyńskich, a Kossuth był przez nich witany entuzjastycznie. Wcześniej jeszcze, bo w r. 1846 powstał w Londynie Demokratyczny Komitet Odrodzenia Polski. Z pośród Chartystów bardziej wyrobieni politycznie rozumieli doniosłość związku pomiędzy walką o wyzwolenie narodowe i wyzwolenie społeczne. Ernest Jones po raz pierwszy wystąpił publicznie właśnie na zebraniu Komitetu Odrodzenia Polski: „Trzeba dławić despotyzm gdziekolwkiek się go znajdzie... Robotnicy Anglii! Wiem, że serca wasze pełne są uczuć gorących dla Polaków. I z dumą myślę oe tym, że nasze zebranie jest zebraniem robotniczym. Nikt inny bowiem nie walczy tutaj za sprawę demokracji..."

Z tradycją walki przeciwko wojnie, przy równoczesnym wiązaniu się przyjaźnią ze światem pracy w innych krajach, wkroczył brytyjski ruch robotniczy w wiek XX-ty. Poparł słynną antywojenną rezolucję sztuttgardzką z 1907 r. i, jakkolwiek nie zdołał wprowadzić jej w życie w 1914 r., zapisał na tym polu piękniejszą kartę niż w niejednym państwie. Ale pacyfizm ten był na ogół dość nieokreślony. Bernard Shaw pisał podówczas: „Niewątpliwym środkiem heroicznym jest wystrzelanie swych oficerów przez obie armie i powrót do domu dla dokonania żniw na wsi i rewolucji w miastach".

Krwawa łaźnia na froncie zachodnim i wyzysk na froncie domowym ukazały robotnikom prawdę. Wyrósł wspaniały ruch szerokich mas, który odnosił zwycięstwa nad rządem, prasą i prawicowym kierownictwem w walce o wyższe płace i o prawa związkowe w Walii, w okręgu Clyde, w Coventry, Sheffield itd. I znów walka przeciw wojnie wzmocniła sprawę robotniczą.

Robotnicy angielscy powitali radośnie Rewolucję Październikową, a w parę lat później dali wyraz swej solidarności z narodami Związku Rad. Rząd brytyjski razem z rządem francuskim zasilał pieniędzmi i bronią atak Piłsudskiego na Związek Radziecki i sam przygotowywał wielkie operacje wojenne. Powszechny ruch sprzeciwu ogarnął cały kraj. Robotnicy utworzyli Komitet Akcji, uchwalili opodatkowanie się i upoważnili Komitet do zarządzenia strajku generalnego. Dokerzy londyńscy nie dopuścili do ładowania broni przeznaczonej przeciw Rewolucji. Statek „Jolly George" nie odpłynął, rząd musiał zmienić plany.

*

Robotnicy brytyjscy wiążą walkę przeciw wojnie z wolnością i dobrobytem. Na ostatnim kongresie Labour Party mimo zaciekłego oporu prawicowych przywódców powzięto uchwały antywojenne i uchwały solidarności z innymi narodami. Rezolucja wezwała Partię Pracy do przeciwstawienia się „siłom wrogim klasie robotniczej w polityce międzynarodowej, w szczególności uznaniu reżimu Franco... użyciu naszych sił zbrojnych jako środka wymuszenia zmian terytorialnych w świecie", wezwała do „poparcia i rozszerzenia handlu między Wschodem i Zachodem".

Prawicowe kierownictwo Labour Party popiera program zbrojeniowy i zamrożenie płac. Ale szerokie masy nie chcą tego tolerować i na tym samym kongresie usunięto z egzekutywy Herberta Morrisona, b. ministra spraw zagr. w rządzie Attlee i Hugh Daltona b. kanclerza skarbu. Weszli natomiast przedstawiciele grupy Bevana. Z mów delegatów na kongresie wynikało jednak wyraźnie, że ogół robotniczy domaga się przesunięć znacznie bardziej na lewo od Bevana. Toteż ten ostatni gra rolę czynnika hamującego dalszą nieuchronną radykalizacją mas, a wzrost jego znaczenia świadczy — wbrew pozorom — że próby te nie udają się. Przytoczmy dla przykładu, że delegaci mas polecili egzekutywie opracowanie dalszych planów nacjonalizacji, że w przemyśle metalurgicznym i maszynowym, jednym z filarów eksportu, 3 wielkie związki, reprezentujące 300.000 robotników, rozpoczęły ostrą walkę o podwyżkę płac, które — jak wykazują statystyki — są obecnie 3 razy niższe niż zysk fabrykantów na głowę robotnika.

W walce ze zbrojeniami, wojną i spadkiem poziomu życia świat pracy nie zawsze ma jeszcze pełną świadomość swej siły. Toteż Partia Komunistyczna i bardziej bojowe elementy Labour Party rozwijają szeroką działalność uświadamiającą i akcję na rzecz pokoju. Odpowiedzią czynników reakcyjnych jest „piętnowanie" opozycji mianem komunizmu. Jest to jednak bezwiedny hołd złożony komunistom, gdyż są oni bojownikami programu, który wyraża wszystkie dążenia narodu brytyjskiego: prawdziwa niezależność, przyjaźń ze Związkiem Rad i krajami demokracji ludowej, wymiana handlowa Wschód — Zachód, wyzwolenie ludów kolonialnych zapewniające zdrowy układ stosunków, rozszerzenie ubezpieczeń społecznych, podniesienie poziomu życia, zmniejszenie zbrojeń, a przede wszystkim — jako fundament innych żądań — pokój i położenie kresu przygotowaniom wojennym.

Naród brytyjski rozumie, że tylko wśród klasy rządzącej są ludzie, którzy pragną wojny i w zaprzedaniu się imperialistom amerykańskim upatrują jedyną możliwość zachowania swych bogactw i przywilejów, utrzymania w jarzmie robotników brytyjskich i kolonialnych. Te dwie sprawy są nierozłącznie związane jak nierozdzielnie się wiąże walka o postęp społeczny z walką o pokój.

George Bidwell

EDMUND NIZIURSKI

RODZINA KOZŁÓW - CZYLI - GDZIE WZMÓC CZUJNOŚĆ

„ANKIETA PERSONALNA"

WYDAJE się, że problem Kozłów został w zasadzie rozwiązany. Podstawowe bolączki: niedostatek ziemi i przeludnienie gospodarstwa nie istnieją. Reforma rolna powiększyła stan posiadania Kozłów o 1 ha gruntu (a mieli 3 morgi), jednocześnie ubyły z domu trzy osoby, ziemię zaś i to tylko połowę ha zabrała ze sobą wyłącznie jedna córka Stefania. Na chlebie ojcowskim pozostało jedynie najmłodsze z dzieci — Bronisława.

O najstarszym synu Kozła panuje na wsi opinia, że „wysoko zaszedł". Nazywano go tu „inżynierem"... i niewiele jest w tym przesady. Stanisław skończył technicum i pracuje jako inspektor w Zjednoczeniu Montażowym Konstrukcji Stalowych.

Wiem, że jedna córka Kozła, Marianna, jest prządką w fabryce włókienniczej w Dzierżoniowie. Druga, Stefania, wyszła za mąż za robotnika kolejowego. Nie zanosi się na to, by i najmłodsza Bronka po skończeniu liceum ogólnokształcącego w Rzeszowie, pozostała przy rodzicach.

W domu ojciec dawno już zapomniał o dratwie i pocięglu. Jego stare ręce nie muszą wyplatać koszyków. Kozłowie piją mleko, jedzą przez cały rok chleb, kraszą kluski i ziemniaki, spożywają mięso, sery i jaja. Podatki zapłacili bez trudu. Wyposażyli córkę. Czują się na siłach zbudować nowe budynki gospodarcze. Prenumerują dwie gazety. Mają radio. Jednym słowem możnaby napisać powiastkę: „Żył sobie poczciwy Kozioł w Polsce Ludowej".. Można, gdyby...

WRÓG CZUWA

Przy kuchni stoi Kozłowa i gotuje obiad. Jej wysoka, ascetyczna postać w długiej spódnicy wyłania się z kłębów pary jak bizantyjska święta.

Smakowity zapach nęci podniebienie. Diabeł wie, co to jest? Wędzonka? Słonina z cebulą? Porcelanowe talerze na stole czekają na świąteczny obiad.

W drzwi wpada wysmukła, elegancko ubrana dziewczyna w nowej kwiecistej sukience i zgrabnych pantofelkach. Biorę ją za Bronisławę i pytam o szkołę.

— To nie Bronka — prostuje Kozioł — to... Marianna.

— Jakto, Marianna tutaj? Na urlopie? — pytam zaskoczony.

Dziewczyna spuszcza oczy. Choć pytanie skierowane było do niej, odpowiada matka.

— Na jakim tam urlopie! W domu... i już!

— Ona już nie pracuje w fabryce — mruczy Kozioł, jakiś zaaferowany....

A to niespodzianka. Patrzę na starego. Kurczy się, pokasłuje.

— Dlaczego nie pracuje? — znów pytam.

— Bo nie — ucina matka.

Zupa rozlewa się i syczy na blasze. Ostry swąd wypełnia kuchnię. Zapada przykre milczenie.

— Nie podobało się tam pani?

Znów odpowiada matka.

— Ona zdrowia nie ma! — a potem dodaje: — Za osiemset złotych?..

— A co jej dolega?

Kozłowa wymija pytanie, rzucając oczyma po bokach.

— A co, w domu jej źle? U rodziców też boso nie będzie chodzić.... a nie, a w domu pomoże. Ojciec przecież już nie do wszystkiego zdatny, robić nie ma komu.

— Ale mówiliście przecież, że córka zdrowia nie ma.

Kozłowa dzwoni pogrzebaczem w węglach.

— W domu przynajmniej lepiej zje... Znajdzie się i kawałek mięsa i tego masła nikt jej nie wydzieli, ubrać się też ubierze...

Urywa nagle i milknie. Już więcej nic nie powie. Żałuje, że się rozpędziła i powiedziała trochę za dużo. Ten nasłany może sobie pomyśleć, że Kozłom naprawdę lepiej.

W pomoc przychodzi Kozłowej kuzyn. Przyjechał na rowerze. Przywiózł dwóch synków, jednego na przyczepce, drugiego na ramie. Ma 4 morgi, pracuje w fabryce w Rzeszowie.

— Nie ma się co dziwić, w mieście ciężko. Co tam człowiek zarobi?... Osiemset? dziewięćset?... — Nie podnosząc oczu wyskrobuje paznokciem jakąś niewidoczną plamkę z nienagannie zaprasowanych spodni odświętnego garnituru. — za mięsem stój... a dadzą tego tyle, ile kot napłakał — szybko podnosi oczy i znów opuszcza. — Na jedno lepiej niż przed wojną. Teraz łatwiej o pracę... sami się proszą... i szkoły owszem.. on przed wojną nie mógł skończyć żadnej, gdyby skończył, to ho, ho... ale synków wykształci na inżynierów.

Rozmowa zeszła teraz na spółdzielnię.

Stary Kozioł powiada: — Rafy, były, ale pobrali między siebie i znajomych. Sklepowa sama układała listy potrzebujących, do faktury nikt nie zagląda. Komitet członkowski? Ano, chciał się na początku wtrącać. Jak Rydz Aniela była. Interweniował nawet. Ale go uciszyli. Rydzównę od dziadówek wyzwali, że to Rydze ubodzy, a oni lepsi.

— Co za oni?

— A są, są tacy... są...

Kuzyn dorzuca pogardliwie:

— A bo tu słowa nikt nie piśnie... boją się. Zresztą pal sześć węgiel i żelazo, ale mięso.. Gdzie jest mięso? No, gdzie?

Zdenerwował mnie. Krzyczę:

— A pan. Ile pan uchował na swojej gospodarce świń i sprzedał państwu?

— Ja... — nie był przygotowany na takie pytanie — miesza się...

— Co tam takie gospodarstwo, tyle starczy, co dla siebie. Kto ma koło tego robić? — przychodzi mu w sukurs Kozłowa.

Przerywam jej.

— Zaraz, odpowiedz pan, ile pan świń uchował? Ach, tak, żeby oddać na skup, kupił pan na jarmarku! Więc nie uchował pan nic! To jakie pan ma prawo mówić o mięsie?!

BIADOLENIA KOZŁOWEJ

Kozłowa biadoli. Ale ona i jej podobni biadolą nieszczerze, na pokaz, na wynos, z tradycyjnego nawyku, z lęku, żeby broń Boże nie pomyśleli tam w Warszawie, że chłopu lżej, bo gotowi, choroby, przyłożyć. Jest to nawyk z tych czasów, gdy rząd był dla chłopa synonimem klasowego ucisku, jego bezlitosnym instrumentem. Nawyk ten utrzymał się u tych, u których, jak u Kozłowej, rozwój świadomości nie nadąża za zmianami w rzeczywistości, a niemałą w tym rolę odgrywają podszepty kułackie. Ale nawet sama Kozłowa zapomina coraz częściej o tym, że „trzeba" biadolić. Tak było naprzykład podczas rozmowy o córce. Zdradziła się wtedy paskudnie i zaplątała we własne sieci. Bo naprawdę to ona cieszy się z awansu dzieci o tyle więcej od męża, o ile jest ambitniejsza, bo naprawdę to ona lepiej od nas spostrzega wszystkie korzyści, jakie jej dała Polska Ludowa. Dumna jest z syna „inżyniera", z „uczonej" córki. Widzi, że życie układa się lżej i lepiej... W tym tylko cała rzecz... że i n a c z e j. Nie tak, jak sobie wymarzyła i umyśliła, jak mogła umyśleć. Awans społeczny córki przez fabrykę? Nie, tego Kozłowa jeszcze nie pojmuje. Dla niej awans jest jeden — przez dobre małżeństwo.



J. K. Maciejewski

Wiem, że w sprawie Marianny nie powiedzieli mi wszystkiego. Oczywiście ten brak zdrowia to wymówka. W odwołaniu Marianny z fabryki kryją się jakieś głębsze, zasadnicze powody.

Przypomnijmy, że przed wojną tylko 7,1% spośród znikomej liczby wychodzących ze wsi znajdowało pracę stałą. Reszta pracowała dorywczo, w najlepszym razie sezonowo. Po jakimś czasie wracała z powrotem na wieś. Przypomnijmy, że w tej liczbie 7,1% wychodzących na stałe ze wsi był znikomy procent kobiet. I wreszcie przypomnijmy dokąd wychodziły te kobiety Do służb domowych, do suteren stróżowskich, do bezrobocia, a często do rynsztoku.

Wyjście kobiety ze wsi było traktowane jako zło konieczne. Wytworzył się nawyk, że „porządna" dziewczyna szła zarobkować tylko po to, by się „ubrać", uzbierać sobie na „wyprawę", na którą rodziców nie stać było. W planie jej stał zazwyczaj triumfalny powrót na wieś z pełną walizą i torebką. A w rezultacie — małżeństwo.

Kozłowa tak właśnie sezonowo i dorobkowo tylko traktowała pracę zarobkową swojej córki.

AMBICJE I TRADYCYJNE WZORY

O Kozła się nie boję. Kozioł jest mądry, umie porównywać stare lata z nowymi i wyciągać wnioski. Kozioł jest uzbrojony w radio i gazetę. Kozła nie potrafią wyprowadzić z równowagi po kumotersku rozdzielone rafy i gwoździe. U Kozłowej każda trudność zakarbowuje się na wątrobie. Kozłowa nie czyta nic. Nie posiada na tyle świadomości, by swoją energię skierować na walkę ze złem. nie posiada na tyle wiedzy, by sobie wytłumaczyć nieuniknione bolączki życia. Tłamsi więc i przetrawia je w ciasnym kręgu podobnie zacofanych sąsiadek. Na takie jak ona stawia wróg, usiłując jej troski skierować w łożysko niezadowolenia.

Kozłowa żyje w kręgu niezaspokojonych ambicji. Sołtys postawił piękny dom córce. Tam bliżej szosy, za ogrodzeniem z metalowej siatki, mieszkają w willach otoczonych ogródkami wzbogaceni kombinatorzy.

Na nich patrzy Kozłowa, im zazdrości. Gdyby była kobietą światłą i mądrą, szukałaby zaspokojenia swych ambicji na nowych drogach, których tyle otwarła przed nią ojczyzna ludowa — w pracy społecznej, w wiązaniu się z władzą ludową, w podnoszeniu gospodarki, w awansie dzieci, w spółdzielczości. Ale ona uznaje tylko awanse i dorobki według tradycyjnych wzorów, obcych jej klasowo i wrogich, podobna jest do owej nierozumnej pszczoły, co trudzi się nad napełnieniem przedziurawionego plastra, z którego miód już dawno wyciekł, pszczoły kierującej się nie rozumem, a nawykami pokoleń. Ma za złe córce, że wyszła za biednego chłopa, drugiej, że chciała pozostać w fabryce, mężowi, że nie dorównał bratu w Ameryce... ani sołtysowi... lub choćby tym chłopom, co rozebrali baraki poniemieckie...

Jej ambicje to: dobry ożenek z morgami, udany handel, stosunki z bogaczami, ich poparcie, wejście w kręgi kumoterstwa — to właśnie drogi klasowo jej wrogie, te, na których ona, uczciwa biedniaczka musi się sparzyć, które przynieść jej mogą tylko gorycz i rozczarowanie.

BITWA O KUZYNA

Kim jest kuzyn? Do niedawna sprawa była prosta, był chłopem małorolnym lub, jeśli wolicie, półproletariuszem, zbywającym jedyny towar, jaki posiadał w nadmiarze — siłę roboczą.

Ale dzisiaj pracuje w socjalistycznej fabryce, zachowując jednocześnie gospodarstwo rolne. Jest więc pół-chłopem, pół-robotnikiem, należy do ponad milionowej, szarej grupy społecznej, która korzystając ze wszystkich praw przysługujących robotnikom, korzysta jednocześnie z własnej bazy aprowizacyjnej.

Powinien więc być w zasadzie w lepszej sytuacji od robotnika i od mało, a nawet średniorolnego chłopa. Tak, gdyby był jednocześnie dobrym robotnikiem i rolnikiem. Kuzyn nie powiedział mi, czy jest dobrym rolnikiem. Wiem tylko jedno: Kuzyn sprzedaje państwu ze swego gospodarstwa o wiele mniej niż mógłby i niż na ogół sprzedają chłopi nie zatrudnieni w przemyśle. Obraziłby się jednak, gdybyśmy powiedzieli, że marnuje swoje gospodarstwo. Nie — on go nie marnuje. Ciągnie z niego nawet więcej niż przed wojną. Tylko, że wszystko *sam zużywa*. Nie jest już zmuszony tak jak przed wojną *sprzedawać* choćby kosztem wyżywienia własnej rodziny. Dlatego tak niechętnie odstawia te minimalne ilości mleka, zboża, ziemniaków i żywca, jakie przypadają na jego 4 morgi Nieraz woli nawet kupić niż uchować... Przecież jest faktem, że odkąd pracuje w fabryce, obniżył towarowość swego gospodarstwa, produkuje nie na sprzedaż, lecz na własne spożycie.

Kuzyn jest rozgrymaszony Wymagania jego żołądka urosły nieproporcjonalnie do jego świadomości. Jego apetyty rozwinęły się zbyt szybko, o wiele szybciej niż umysłowość.

Zdumiewająca i nie przypadkowa jest zbieżność apetytów kuzyna i Kozłowej, ale też ta sama ideologia je ukształtowała — ideologia drobnego posiadacza. W tej chwili dla kuzyna celem jego dążeń jest „Jawa" (duży motocykl), która zaprząta jego wyobraźnię, podobnie jak „willa za siatką" wyobraźnię Kozłowej. W takim to kręgu doraźnych celów kręci się ich umysł. Nie rozumieją, że te doraźne korzyści uwarunkowane są zwycięstwami na szerszym „nieco" polu, że dobrobyt, to dziecko — socjalizmu. Że tego probemu dobrobytu nie rozwiążą kombinacjami i „osobistą zapobiegliwością", lecz świadomym włączaniem się w budownictwo socjalistyczne w mieście i na wsi.

Zbieżność apetytów kuzyna i Kozłowej jest uderzająca. Lecz niech to nam nie przesłania oczu. Jednakowy był tylko punkt wyjścia. Lecz Kozłowa jest stara, a kuzyn młody. Czy chce, czy nie chce, uczy się od robotników. Nie zdaje sobie nawet sprawy, ile już w jego postawie jest nowego.

Czymże jest choćby ta jego aktywna reakcja na nieporządki w sklepie Gminnej Spółdzielni, ta pogarda dla starochłopskiej bierności i zastraszenia? A sprawa synów? Zdumiałby się, gdybyśmy dla jego dzieci szykowali gospodarki nawet na miarę szczęśliwych kombinatorów w „willach za siatką". Nie, kuzyn inny wybrał dla nich awans. Sam byłem zdumiony... bo to był awans Staszka Kozła — technika i aktywisty. To, co już dziś zdobył Kozioł, szykuje kuzyn dla swoich dzieci. Ta „kariera" lepiej mu odpowiada. Dlaczego? Nie pytałem go. Przypuszczam, że jeszcze dziś nie umiałby na to odpowiedzieć.

Na tym swoim „Bałtyku" codziennie wozi on bowiem do fabryki nie tylko swoje mięśnie, ale i niedouczoną głowę. Niedouczoną, lecz bynajmniej nie pustą. Napełniają ją dawne nawyki i tradycje, właściwe środowisku, gdzie przez długie lata ton dyktowały stare autorytety wsi: bogacz i sklepikarz. A takich Kuzynów spotyka się więcej. Na tym więc poczciwym „Bałtyku" codziennie z tysięcy odległych wsi jedzie do naszych fabryk drobnoburżuazyjna ideologia, często świadomie eksportowana przez kułaka i spekulanta, przez wiejskiego morusa i chuligana.

Zanim kuzyn dostanie mieszkanie w osiedlu robotniczym, staje przed nami przejściowy, ale ważny problem pracy politycznej nad kuzynem. Robotnicy, towarzysze fabryczni kuzyna, czy wy wiecie, z kim on przestaje po powrocie z miasta? Jakie są jego rozrywki i towarzystwo? Więcej uwagi na kuzynów! Musimy sprawić, aby ich rowery wiozły na wieś nie tylko koperty z pieniędzmi, ale i socjalizm.

Edmund Niziurski

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Rozmowy o skupie i kontraktacji

NASZA pierwsza rozmowa? Tak, to było w początkach czerwca, trzymała susza, pojaśniało przedwcześnie żyto i o nim też głównie była mowa. Józef Jaskółka, małorolny ze Szczepańcowej, leżącej na dalekiej Krościeńszczyźnie przekonywał mnie, że tegoroczny skup nie powiedzie się, przynajmniej w jego macierzystej gromadzie.

Spoglądaliśmy z łagodnych wzgórz ku wsi a Jaskółka argumentował z przejęciem:

— Wieś niby nie mała, będzie coś 160 numerów, ale co z tego, kiedy co najmniej 200 młodych osób pracuje w przemyśle i na urzędach. Jak bedziem kosić? Juźci — tylko ręcznie. Ale skąd brać ludzi — jeden tylko Pan Bóg wie. Bo jak GOM da jedną żniwiarkę — to i wszystko. A zwózka? Mamy raptem w całej wsi 39 koni zdolnych do pracy. I gdzie to zboże aż do Krosna taszczyć? Nie damy rady w terminie.

Słowem, Jaskółka przewidywał trudności w organizacji żniw. Gdybyż tylko to! Przewidywał, że tegoroczne zbiory żyta nie przekroczą 60—80 proc. zeszłorocznych a pszenicy nawet 30—40 proc. Buraki, rzepak, rzepik, len, fasola zupełnie nie wyszły, jedynie owies i jęczmień jako tako.

— Dadzą nam teraz taki plan, że będziemy piszczeć!

A nasza druga rozmowa? Koniec listopada, śnieg już pozacierał kolory jesieni, posmutniał krośnieński krajobraz. Ale za to Jaskółka promieniał. Okazało się, że wykonał już wszystkie obowiązki wobec państwa w 100 procentach. Podobnie reszta gromady. Cóż u licha! Przecież przed pół rokiem sam wmawiał we mnie, że będzie katastrofa. Skąd ta sprzeczność? Ale bo to stary dał mi dojść do słowa? Ledwom tylko zaczął: przecież narzekaliście wczesnym latem na brak ludzi... a już mi gwałtownie przerwał.

— Ja tak nie gadałem. I jakże mógłbym po trzech latach skupu. U nas przecież od roku nikt sam sobie nie kosi i nie zbiera. Wspólnie się robi, albo — jak to wy piszeta w gazetach — kolektywnie. My — im, oni — nam. Wszystko było na termin.

— Przecież miało się nie urodzić?

— Nie urodzić? A bo to chłopi nie nauczyli się stosować nawozów? Skądżeście sobie wymyślili, że zboże w połowie nie wyszło, a buraki wcale. Czy wam tego nie rzekł jaki reakcjonista?

I gadaj tu z takim! Przecież na własne uszy usłyszałem to z jego ust! Nie ustępowałem.

— Koni ponoć u was tylko 39. Jakżeście na tyle kilometrów dali radę wszystkich obsłużyć?

— Po pierwsze jeden drugiemu zawoził, po drugie nie do Krosna, bo mamy już na miejscu magazyny. To już nie ten rok. co poprzedni!

Jaskółka wspomina... Jeszcze dwa lata temu przeważała stara organizacja pracy. Każdy sobie, po sobkowsku. Tego roku siewnik objechał pola wszystkich po kolei. Sam Jaskółka obsiał wszystkie pola z lewej strony drogi. Do żniw podzieliła się gromada na brygady. Każda z nich odpowiadała za zbiór, młóckę i odstawę z kilkunastu gospodarstw. Nowa organizacja pracy, nieznana nigdy dotąd w Szczepańcowej! Powstała dzięki skupowi...

Gratuluję Jaskółce, że tak wszystko dobrze idzie, kłopotów nie ma. A ten znowu na mnie:

— Nie ma kłopotów? Teraz się dopiero zaczęły!

Rzeczywiście. Zaczęły się od mleka. Na ilość krowy dają w sam raz, ale za mało tłuste. Co tu robić? Zmienić krowy, czy może dać sobie spokój z nimi?

Jaskółka prowadzi mnie nad rzekę i powiada, że to ona winna załamaniu się planu dostaw mleka. Nie rozumiem.

— Niby, że mleko wodą chrzcicie, czy jak?

Mój rozmówca śmieje się i rozsnuwa przede mną plan regulacji niesfornej rzeki i bonifikacji łąk. Jaka pasza, takie mleko.

— Trza tu takiej melioracji, co sama będzie wodę lała w suchy czas i wyciągała ją w mokre pory. Automat wodny, rozumiecie? A wtedy dostawy mleka pójdą jak należy. Technicy już opracowali plany, na wiosnę będziem robić.

Zaimponował mi ten Jaskółka! Mleka nie oddziela od krowy, krowy od łąki, łąki od rzeki i automatu wodnego. Zanosi się na prawdziwą rewolucję w gromadzie.



J. K. Maciejewski

— Na świnie nie jesteście tu nastawieni?

Ogromnie byłem ciekaw co mi odpowie. Z racji mleka zaprowadził mnie nad rzekę. Gdzie powiedzie mnie teraz? Powiódł na wzgórze, skąd widać Krosno.

— Gaz sobie musimy sprowadzić, wtedy będziem świnkom gotować, bo z węglem i drzewem u nas bryndza, a torfu ani na lekarstwo. Ino, żeby rury dali, do gazu od nas niedaleko. Kobiety powiadają, że hodowla od tego podskoczy. Teraz się indyki też kontraktuje.

Wracamy do wsi, przyłączają się do nas chłopi. Są wśród nich tacy przodownicy, dobrzy gospodarze, jak Pacek i Dynowski. Stwierdzamy, że w gromadzie nastąpił przełom, jeżeli chodzi o produkcję. Inna, wyższa organizacja pracy, rewolucja w zakresie hodowli krów, świń, kur i indyków, wielkie roboty melioracyjne, doprowadzenie gazu. Jakiż ogromny skok do przodu!

— A odkąd to staliście się tacy energiczni?— pytam.

— Ano będzie już kilka lat, jak skup i kontraktacja nastała...

Oto i wieś. Błyszczą już żarówki, przez ściany domów przebijają się radiowe muzyczki. Czy nie słusznie nazywamy skup i kontraktację wielką szkołą dla mas chłopskich, szkołą *budowania mostów do socjalizmu?*

MICHAŁA Kliszczaka z gromady Iłowa, pow. Żegań poznałem dopiero w listopadzie br. Wcześniej, na początku roku drukował w naszym piśmie wypowiedź, w której proponował obowiązkową kontraktację żywca, na kilka miesięcy przed państwowym dekretem, znaliśmy się więc niejako ze słyszenia.

Starszy to już chłop, idzie mu 57 rok życia, odznaczony Krzyżem Zasługi za patriotyzm w wykonywaniu obowiązków wobec państwa i wzorowe prowadzenie gospodarstwa. Nie dziwi mnie więc, kiedy oświadcza, że i obecnie jest już „na 100 procent".

W Kliszczaku zdumiewa i zastanawia przede wszystkim — jakaś niespotykana żywotność, pomysłowość, nieustanna troska o spotęgowanie i poszerzenie akcji skupu i kontraktacji.

Nie dalej przecież jak w październiku na otwartej sesji GRN (Kliszczak jest radnym) podjął zobowiązanie, że zakontraktuje dodatkowo 2 tuczniki i wezwał swych kolegów z gminy i powiatu do współzawodnictwa. Najpierw — konsternacja, a następnie posypały się zobowiązania. W rezultacie gmina wyszła już na trzecie miejsce w powiecie i ma szanse na pierwsze.

Stary wspomina o swoim wystąpieniu niezwykle skromnie. zapala się natomiast do nowego projektu. Myśli mianowicie o tym, żeby powołać do życia agitatorów Frontu Narodowego, jednego na 10 gospodarstw. Dać chłopu odpowiedni materiał propagandowy i niech agituje za skupem i kontraktacją. Rzucić kilkunastu na gromadę, dotrą łatwo do każdego, łatwo wskażą na przodujących, szybko zdemaskują spekulantów.

Rozmawiamy bardzo swobodnie dłuższy już czas, nie mogę się jednak wyzbyć przekonania, że Kliszczaka coś martwi, coś przede mną ukrywa. Początkowo sądziłem, że chodzi mu o dosyć drażliwą w jego gromadzie sprawę dostaw mleka. Stary bowiem zapytał:

— Jak sądzicie, kto daje mleko — hektary czy krowy?

— Po mojemu — jednak krowy.

— Ano widzicie, a u nas są tacy, jak leśnicy, a nawet i robotnicy, co trzymają po 2 piękne krowy, a nie odstawiają, bo nie mają hektarów.

— Jakto, przecie krowy powietrza nie jedzą.

— Korzystają z gminnych pastwisk i wolnego rynku. Trzeba będzie tę sprawę poruszyc, powiększymy plan, będzie tego przeszło 1000 litrów. Tylko, że to urzędniki, łatwo nie pójdzie...

Co dręczy Kliszczaka? Sprawa wyszła na wierzch dosyć niespodziewanie, kiedy to w najlepszej wierze spytałem go, czy i w przyszłym roku będzie przodownikiem. Stary natychmiast spochmurniał.

— Koniec z przodownikiem. Sam nie dam rady, syna mi zabrali do wojska, córka się uczy. Ja tam zdrowia nie mam wielkiego a do każdej roboty społecznej człowieka ciągną.

Więc o to chodzi! Posiwiały człowiek spogląda na mnie niespokojnie, złożył przed sobą na stole spracowane ręce, lecz palce w żaden sposób nie chcą szczelnie do siebie przylegać. Wreszcie powiada:

— Pomóżcie mi odebrać go z powrotem... Urywa zawstydzony. Ot rozsądek nie skontrolował w porę ojcowskiego serca. Mówię teraz ja.

— Więc nie widzicie wyjścia?

— Ano nie, lat mi nie ubywa...

— Będziecie chyba musieli zrezygnować z waszej wspaniałej hodowli świń, mniej odstawicie, porzucicie buraka. Przestaniecie wprawdzie świecić przykładem innym, ale przecież każdy was zrozumie.

Zapada długie milczenie. W końcu stary podchodzi do szafy, dobywa z niej czarną marynarkę. W klapie błyszczy Krzyż Zasługi.

— Cofnąć się to tak jakgdyby oddać ten krzyż. Jak przyszła kontraktacja, z roku na rok podnosiłem produkcję, a teraz przerosło to moje siły. Cofać się do dwóch świnek, żytka i lichej trawki?

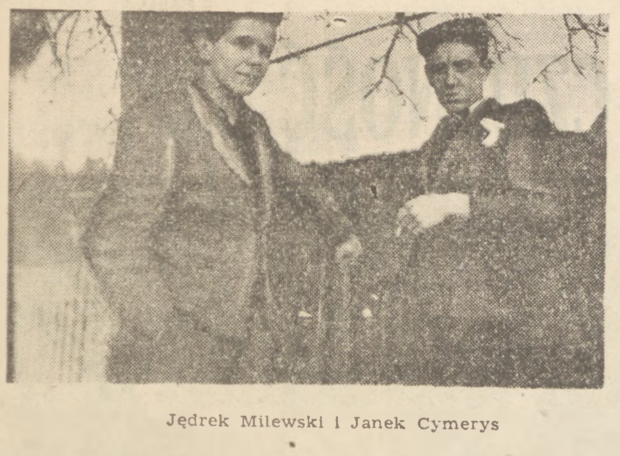
Twarda sztuka ten Kliszczak! Słyszę go przecież wyraźnie.

— A bo to tylko u mnie taka sytuacja? Wszyscy z roku na rok rzucają coraz więcej na rynek. A teraz inaczej już nie poradzi. Wóz albo przewóz. Czas na *Komitet Założycielski*.

Ze szkoły powróciła córka. Ojciec całuje spokojnie jej jasne włosy. Czuję ciepło w sercu, kiedy stary mówi.

— Przecież ona musi się uczyć, taka jest zdolna...

Wiesław Jażdżyński



Jędrek Milewski i Janek Cymerys



Przyszła teściowa Jędrka

LESZEK SKRZYDŁO

W SZEREGI KLASY ROBOTNICZEJ

DO Starachowic dojeżdżam wczesnym rankiem. Pociąg przeładowany młodzieżą. Na wszystkich drogach nasze polskie „Stary".

Nie trudno zgadnąć dokąd te drogi wiodą. Fabryka samochodów „Star 20" stoi na wzgórzu, dominuje wyraźnie nad okolicą. Widać stąd wyraźnie tor kolejowy, stację, dalszą część Zakładów Starachowickich a nawet wiele okolicznych wsi.

W Zakładach Starachowickich panuje młodzież. Wystarczy przejść którykolwiek z fabrycznych oddziałów. Młodzież stanowi 37 proc. ogółu załogi. Jeżeli odliczyć wcale liczny personel administracyjny i kierowniczy, procent ten znacznie jeszcze wzrośnie.

Przed wejściem do Zakładów wisi w starannie oprawionych gablotkach pokaźna galeria przodowników. Ale młodych jak na lekarstwo. To mnie zdumiało. Z trudem doszukałem się wreszcie pierwszego.

Mieczysław Migała, 25-letni ZMP-owiec pracuje na Oddziale P-1 przy produkcji sworzni resortu tylnego. Osiąga przeciętnie 380 proc. normy. Ładnie! A zarabia około 1.500 złotych miesięcznie. W Zakładach pracuje od początku ubiegłego roku. Praktykę odbywał w zakładach ślusarskich przy kamieniołomach na Ziemiach Odzyskanych. Od kilku miesięcy pełni funkcję przewodniczącego Oddziałowego Koła ZMP. Jest żonaty, dojeżdża codziennie z pobliskiego Wąchocka, z pracy społecznej wywiązuje się należycie.

Na Oddziale P-3 przodownikiem jest Jan Sigda. Przed wojną pracował jako małoletni u obszarnika w Gorliczynie koło Przeworska. Oddał go tam ojciec, małorolny chłop, obarczony liczną rodziną. Po wojnie w cukrowni jako zwykły robotnik. W roku 1946 wstąpił do ZWM. W następnym skończył Szkołę Przysposobienia Przemysłowego i otrzymał pracę w Starachowicach. Odbył służbę wojskową i powrócił. Ten młody, 26-letni szlifierz wyrabia 250—270 procent normy, zarabia około 1800 złotych i pomaga swoim starym rodzicom. Także przewodniczący Oddziałowego Koła ZMP.

Marian Weronowski z P-2 również przewodniczący koła jest korespondentem fabrycznym „Słowa Ludu" i „Trybuny Ludu". Montuje silniki.

Józefa Krawczyk — aktywna ZMP-ówka, delegat na warszawski Zlot Młodych Przodowników...

Notowałem początkowo te suche szczegóły biograficzne raczej z nawyku niż z jasno określonej potrzeby. Trzeba było kilku godzin pogoni za młodzieżowymi przodownikami, żeby uświadomić sobie, że są nimi chłopcy i dziewczęta „z życiorysem", tacy co ciężko przechodzili okupację, z trudem dobijali się do fabryki, a przede wszystkim *czynni, aktywni działacze społeczni*, właśnie *przewodniczący kół, czy korespondenci fabryczni, ludzie bezpośrednio związani i odpowiedzialni za pracę Zakładów*. Innych przodowników na ogół nie znalazłem wśród młodzieży. Dlaczego? Przecież Zakłady doskonale są obsłużone przez wysokokwalifikowane kadry techników, majstrów i inżynierów? Dlaczego oglądałem na tablicy całą galerię przodujących, ale dopiero w średnim i starszym wieku?

✻

Tuż za zakładami, na skraju sosnowego lasu stoi piękny, dwupiętrowy budynek. Nad wejściem tablica — *Dom Młodego Robotnika*. Niejeden student mógłby pozazdrościć młodym robotnikom takiego domu.

Wszystkie pokoje zradiofonizowane, cztery świetlice, centralne ogrzewanie, bieżąca woda, duże, jasne pokoje, starannie umeblowane, Ale dom prawie pusty, mimo, iż chłopcy dawno już z pracy powrócili. Kilku odświętnie ubranych pędzi „na miasto".

Wymarła świetlica, brak jakichkolwiek gier, jedynie zapalona dwójka skacze przy ping-pongowym stole.

Co robią po pracy? Ano nic specjalnego. W każdym razie w Domu rzadko kto siedzi, bo i po co? Gier zespołowych nikt nie prowadzi, nie ma świetlicowego, o powieści Hamery — „Na przykład Plewa" nie słyszeli, nie ma bibliotekarza, organizującego czytelnictwo. Moi sportowcy przeczytali w tym roku po dwie książki, ale nie umieją wymienić nawet tytułów. Chodzą do miasta, grywają w karty, czasem pójdą do kina. I to wszystko. A Dom? Jak każdy hotel, sypia się.

Jestem wyraźnie zaniepokojony, kiedy stary portier Wojtachnio opowiada mi, że ostatnio kilku chłopców zakradło się do stołówki i nasypało soli do kawy. W rezultacie pierwsza zmiana poszła do pracy bez śniadania. Co o tym sądzi stary?

— A no, zuchy, dawnom takiego kawału nie oglądał...

Odczytuję następujące ogłoszenie kierownictwa DMR.

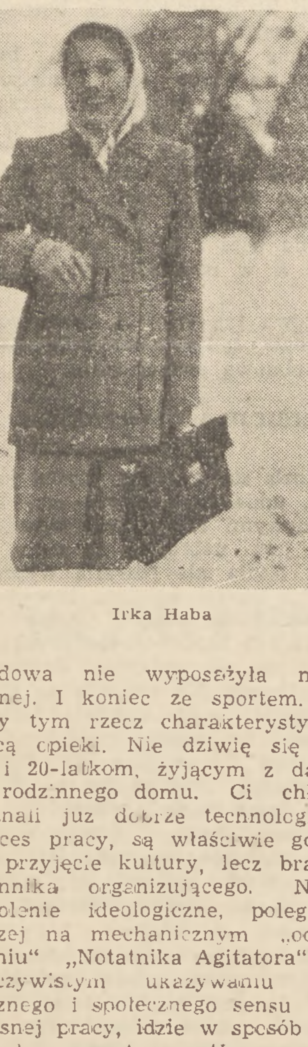
„Podajemy do wiadomości mieszkańcom DMR, że w dniu 21.XI. br. zostali usunięci z Domu Młodego Robotnika mieszkańcy:

1. Jastrzębski Jerzy, 2. Jastrzębski Eugeniusz za nieprzestrzeganie regulaminu DMR, za wulgarne ubliżanie sprzątaczce, za przychodzenie w stanie nietrzeźwym do DMR, za spowodowanie bójki w dn. 19.XI. br. w DMR, za złe zachowanie się na ulicy i pobicie na zabawie w dn. ?.XI. br. ob. G."

Oczywiście, nie można powiedzieć, że wśród mieszkańców Domu przeważają tacy „dowcipnisie", ale ten „odsetek" o czymś mówi.

Oto u chłopców wyczuwa się obojętność dla spraw związanych z zakładami pracy.

Są wspaniali starsi robotnicy, lecz młodzież nie należy do Klubu Przodowników, wspominają mi o tym moi rozmówcy z widocznym żalem. Chcieli grać w piłkę, zgłosili aż trzy drużyny, ale Rada Zakładowa nie wyposażyła nawet jednej. I koniec ze sportem. Jest przy tym rzecz charakterystyczna. Chcą opieki. Nie dziwię się tym 18 i 20-latkom, żyjącym z daleka od rodzinnego domu. Ci chłopcy poznali już dobrze technologiczny proces pracy, są właściwie gotowi na przyjęcie kultury, lecz brakuje czynnika organizującego. Nawet szkolenie ideologiczne, polegające raczej na mechanicznym „odbębnianiu" „Notatnika Agitatora" niż rzeczywistym ukazywaniu politycznego i społecznego sensu ich własnej pracy, idzie w sposób prawie kompromitujący Uczęszcza zaledwie 20 proc. mieszkańców Domu.



Irka Haba

Pogłębia się pytanie: dlaczego młodzież nie zdaje sobie sprawy z tego, że pracuje w Zakładach, które stanowią chlubę naszej ludowej ojczyzny? Dlaczego, kiedy bumelantów prawie nie ma, pracują porządnie, lecz tylko równo z normą? Czyżby brak szerszych i silniejszych bodźców dla przywiązania się do macierzystej fabryki? Nikt jej wprawdzie nie opuszcza, płynność kadr nie stanowi tu istotnego niebezpieczeństwa, ale też niewielu normy przekracza.

Przekraczają tylko ci, którzy przeszli na pozycje działaczy społecznych i politycznych.

Uchwyciłem dopiero małą część problemu. Bo olbrzymia część młodzieży Starachowickich Zakładów to nie mieszkańcy Domu i nawet nie miasta, lecz synowie pobliskich wsi. Jakże u nich wygląda ta sprawa?

✻

Oto gmina Kunów, rezerwuar siły roboczej dla fabryki „Starów". Na 14 gromad znalazłem 20 zaledwie gospodarstw, z których ani jedna osoba nie pracuje w przemyśle. Tylko 20 chłopskich rodzin żyje wyłącznie z rolnictwa! To stąd każdego ranka i każdego wieczora ciągną pociągami, samochodami i rowerami do fabryk Zagłębia Staropolskiego, rozłożonych od Skarżyska aż po Ostrowiec. Idą do kamieniołomów w Dołach Biskupich, Fabryki Narzędzi Rolniczych w Kunowie, huty „Ostrowiec", wielkich zakładów w Skarżysku, głównie jednak Starachowic.

Oto Gromada Bór Kunowski. Kiedyś była to zwykła, nędzna wieś kielecka. Najbogatszy gospodarz posiada raptem 4,2 ha, reszta 1—2 ha lichej ziemi,

Jakże się odbił na takiej gromadzie masowy odpływ sił roboczych do przemysłu? Bór Kunowski należy do gromad przodujących. W zeszłym roku wysunął się na czoło w całym województwie w wykonaniu obowiązków wobec państwa. Gromadę nagrodzono radioodbiornikiem. Pomyśleć tylko! Wioszczyna licha na oko, odcięta lasami od innych gromad, pozbawiona światła elektrycznego. Ani tu mowy o bibliotece, chyba, że brać pod uwagę szkolną, do której nikt z pracujących w fabryce nie zajrzał. Gospodarstw 50, rodzin 80. Ostatni, który żył z samego rolnictwa to sołtys. Ale i ten „uciekł" do Starachowic.

Wieś jest dziś zamożna. Słychać wszędzie radia bateryjne, ludzie noszą się dostatnio, na miejscu mają swojego krawca. Hektar nie pracuje już na 6 osób, jak to było przed wojną, lecz na 3, a te 3 inne przynoszą do domu prawie 3 tysiące złotych miesięcznie. Kobiety obrabiają pola, pilnują gospodarstwa, mężczyźni pracują w fabrykach — taki jest tu układ.

Na całą gromadę jednego tylko znalazłem chłopaka, który nie pracuje w przemyśle. Jest krawcem i zarabia nie gorzej niż 'oledzy w przemyśle. Ich właśnie ubiera.

Młodzi Borowiacy nie mają przodowników, choć nie znajdziesz pośród nich ani jednego niewykwalifikowanego robotnika.

Jędrek Milewski pracuje w „Śratach" od 1949 roku. Gwarzymy przed jego domem.

— A cobyście ze sobą zrobili, gdybyście się do pracy w fabryce nie dostali?

Nie umie dać odpowiedzi. Po prostu nie wyobraża sobie takiej sytuacji.

— Na wsi nie ma co robić, starzy nas cenią za fach i pieniądze. To się lepiej opłaca niż dłubanie w ziemi.

Zarabia 900 złotych, ale może bez specjalnego wysiłku osiągnąć 1200 złotych.

— Dlaczego nie idziecie na większy zarobek, brak wam kwalifikacji?

— Człowieku, jak się podciągniesz, to cię od razu na brygadiera, albo zastępcę wezmą i już *odpowiadasz za zespół. Ja wolę swoją jedną maszynę, jak moja matka swoje gospodarstwo.*

I dalej opowiada, że niedługo będzie się żenił w rodzinnej wsi. Dziewczyna jest dobra, świat jej nie zepsuł, domu się trzyma, będzie dobra gospodyni.

— Kocha kury, *obiady będą jak u dziedzica.*

Kilka domów dalej mieszka Irena Haba. Pracuje w Starachowicach już dwa lata. Dziewczyna jest młoda (22 lata), zarabia 1100 złotych. W fabryce zainteresowano się jej dużymi możliwościami, proponowano funkcję kierownika brygady. Dlaczego odmówiła?

— Ano, jakby to powiedzieć, *nie chcę odpowiadać za innych*, nalatam się za grupą, więcej przez to nie zarobię, a jeszcze gotowi powiedzieć, że jestem nieodpowiedzialna. Po co mi to? *Nie lepiej odpowiadać tylko za swoje?*

Jej brat usiłował doścignąć siostrę. Nie udało mu się. Rzucił więc fabrykę i pracuje jako... krawiec.

— Wstaję kiedy chcę, *nikt mi nad głową nie ślęczy*, nie mam norm, a grosz ten sam, albo i więcej niż u Irki.

Z Jankiem Cymerysem sprawa z pozoru inna. Chłopak szedł na zarobek, zdobywał kwalifikacje, wyróżniono go przed rokiem, ale odkąd do pracy poszedł i ojciec stanął w miejscu.

— U nas to tak, niecałe 2 ha na 6-cioro ludzi to trochę za mało. Musiałem pomagać. Ale teraz, kiedy razem z ojcem wyciągamy prawie 2000 złotych? *Po co się więcej wysilać?*

✻

Zbieram refleksje. Wyobraźcie sobie najpierw konkretnie sytuację młodzieży borowskiej.

Cymerys wstaje około godz. 5, wraca do domu zmęczony, nie tyle pracą, ile jazdą i marszem. Idzie 5 km pieszo, jedzie w zatłoczonym pociągu 18 km. Wraca o zmierzchu, i zasypia twardym snem.

Bór Kunowski nie posiada instytucji społeczno - kulturalnego życia. Tak więc Cymerys i inni nie żyją rodzinną gromadą, nie żyją także i fabryką. Kończą pracę i pędzą na stację. Stan ten powoduje między innymi, że świadomość społeczna tych chłopów jest niekiedy bardzo niska. Jest to tym niebezpieczniejsze, że — jak mnie informowali majstrowie — chłopcy znają się na robocie i łatwo mogliby zająć miejsca brygadierów, podmajstrzych a nawet majstrów.

(dokończenie na str. 6)

ZBIGNIEW ŻABICKI

PO ZJEŹDZIE

JECHALIŚMY do Poznania na VI Ogólnopolski Zjazd Młodzieży Polonistycznej pełni ciekawości i jednocześnie nieco zatroskani. Zatroskani, ponieważ historyczno - literackie uogólnienie dorobku literatury powojennej nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, szczególnie, jeśli autorami referatów są studenci, a w najlepszym wypadku niedawni absolwenci seminariów polonistycznych. Czy Zjazd zdoła objąć referatami i dyskusją wszystkie kluczowe problemy pisarstwa lat 1945 — 1952? Czy problemy te rozwiąże poprawnie, z całą polityczną słusznością i metodologiczną precyzją? Te pytania stawiać sobie musiał każdy z uczestników Zjazdu. Wnioski, jakie nasunął przebieg Zjazdu, nie upoważniają do pesymizmu w ocenie rozwoju młodej kadry krytyków literackich i historyków literatury.

Młodzi poloniści pominęli wiele istotnych spraw, jakie badaczowi nasuwa powojenne pisarstwo. W referacie W. Kuczkowskiego, J. Kolichowskiego i S. Ozimka, autorzy nawiązali do najlepszych tradycji poezji wojennej, omawiając twórczość Lucjana Szenwalda. Kolektyw wrocławski pod kierownictwem Tymoteusza Karpowicza podjął próbę zanalizowania poezji lat 1948 — 1951. Kolektyw krakowski dostarczył studium o roli krytyki literackiej w walce o realizm socjalistyczny. Józef Nowacki z Poznania przedstawił własną próbę zsyntetyzowania rozwoju dramatopisarstwa po wojnie. Zespół krakowskiej PWSP, kontynuując dobre tradycje zjazdowe uczelni pedagogicznych, uzupełnił problematykę Zjazdu ciekawym referatem o literaturze młodzieżowej. Wśród tych prac syntetyzujących zabrakło jednak referatu o ewolucji powojennej prozy. W pewnej tylko mierze wypełnił tę lukę szkic W. Billipa i Rurawskiego o postaci pozytywnego bohatera; wypełnił ją oczywiście w sposób niewystarczający, choć spośród różnorodnych problemów powieści powojennej zaatakował najbardziej centralny, najbardziej pasjonujący dla krytyka, który bada przede wszystkim to, co w literaturze nowe, co rodzi się w niej dopiero i rozwija.

W cyklu referatów analitycznych wysłuchaliśmy prac o twórczości Jastruna (J. Trznadel) i Borowskiego (Kochańska i Hernas), A. Rudnickiego (H. Zaworska) i Brandysa (A. Lam). Kolektyw wrocławski przedstawił referat o Wojciechu Żukrowskim, na zakończenie Zjazdu odczytany został szkic krytyczny Henryka Berezy i Andrzeja Lama o „Pamiątce z Celulozy" Newerlego. To statystyczne wyliczenie tematów świadczy, że nie wszyscy czołowi pisarze Polski Ludowej doczekali się na Zjeździe omówienia ze strony młodej krytyki. Szczególną bolączką Zjazdu był brak referatu o Władysławie Broniewskim, zabrakło również pracy o pisarstwie Lucjana Rudnickiego i Jerzego Putramenta. Tego rodzaju „kontrprzykłady" można by zresztą mnożyć. Poprzestanę na trzech podstawowych, by stwierdzić, że Zjazd nie zajął się głównymi problemami literatury powojennej w sposób całkowicie wystarczający i pełny. Nie jest to zresztą wynik niedopatrzenia ze strony organizatorów Zjazdu: wśród referatów planowanych znajdowały się prace o Broniewskim i Rudnickim, znajdowała się również syntetyczna praca o prozie powojennej. Dla niektórych ośrodków były to jednak tematy przekraczające możliwości realizacji — nic to zresztą dziwnego, ponieważ monograficzne rozpatrzenie twórczości Broniewskiego czy dziejów prozy polskiej w latach 1945 — 1952, wymagałoby od autorów dłuższego okresu pracy przygotowawczej.

Pytanie drugie, postawione na wstępie, dotyczyło politycznej słuszności i metodologicznej precyzji referatów. Stwierdźmy od razu: Zjazd Polonistów nakreślił w ogólnych zarysach słusznie drogę rozwojową literatury powojennej. Śmiałymi rzutami zaznaczone zostały momenty przełomowe tego rozwoju. Początek walki o realizm socjalistyczny, pierwsze literackie realizacje socjalistycznych założeń pisarskich — to wszystkie najistotniejsze sprawy znalazły na Zjeździe szerokie odbicie: literatura powojenna ukazana została w burzliwej dynamice rozwoju. Jeśli jednak autorzy referatów i dyskutanci słusznie przedstawili kierunek rozwojowy pisarstwa lat 1945 — 1952, to jednocześnie dialektyczne powiązanie przemian literatury z przemianami życia społeczno-politycznego nie we wszystkich pracach wypadło zupełnie poprawnie. Czasami referenci ograniczali się do wskazania na niektóre tylko, zewnętrzne przejawy tych procesów. Zbyt pobieżnie przeprowadzona została w referatach analiza przemian historycznych w Polsce Ludowej; dopiero w dyskusji Grzegorz Lasota wskazał na podstawową różnicę między burżuazyjno-demokratycznym a socjalistycznym etapem naszej rewolucji. Ta zaś specyfikacja była przecież konieczna dla pełnego zbadania genezy socjalistycznego realizmu w naszej literaturze. Nieśmiało poruszona została problematyka kształtowania się narodu socjalistycznego w Polsce. Najpełniej stosunkowo podjął ją referat o „Pamiątce z Celulozy". I jeszcze w pracy Billipa i Rurawskiego dostrzec można było próby nawiązania do tej centralnej kwestii — ale tu referenci nie wykorzystali w pełni metodologicznych konsekwencji, jakie nasuwał im poruszony temat.

Między innymi te chyba niedostatki w analizie historycznej stosunków powojennych sprawiły, że prace o charakterze syntetyzującym wypadły nieco słabiej, niż monograficzne analizy twórczości poszczególnych pisarzy. Bez wątpienia przyczyniły się do tego również zwykłe trudności, jakie napotyka młody badacz podejmujący próbę syntezy. W konsekwencji trzeba więc stwierdzić, że najlepsze prace zjazdowe zaliczają się do grupy referatów analitycznych. I tu na czoło wysunie się kilka spośród nich: wspomniany już referat o „Pamiątce z Celulozy", praca Heleny Zaworskiej o twórczości Adolfa Rudnickiego, szkic Jacka Trznadla o poezji Jastruna, a wreszcie żywo napisany essay Andrzeja Lama o Kazimierzu Brandysie. Lam trafnie ukazał ciągłość rozwoju pisarskiego Brandysa: obalił błędny mit „postępowości" „Drewnianego konia" jako wyrazu „obrachunków inteligenckich", „Miasto niepokonane" scharakteryzował jako konieczny etap w rozwoju pisarza — etap rozbratu z egotyzmem, etap przejścia do społecznej oceny losów ludzkich. Helena Zaworska rozwiązała w swym studium o Adolfie Rudnickim kilka podstawowych zagadnień: przeprowadziła uzasadnioną periodyzację twórczości pisarza, zanalizowała stosowane przez Rudnickiego środki wypowiedzi artystycznej (tu szczególnie należy zwrócić uwagę na określenie typu metaforyki), wreszcie zaś rozprawiła się z panującą w naszej krytyce wokół twórczości Rudnickiego atmosferą estetyzującego „cmokierstwa". Ta niebezpieczna atmosfera kazała niektórym krytykom abstrahować od ideowych błędów Rudnickiego, rozsmakowywać się w rytmie jego prozy, który po dzień dzisiejszy nie zawsze bije zgodnie z rytmem współczesnego życia. Powodowana troską o rozwój ideowy pisarza i wynikającą stąd żywą pasją krytyczną, Zaworska — jak stwierdził w wypowiedzi swej Ryszard Matuszewski — nie doceniła w pełni wczesnych powojennych opowiadań Rudnickiego. Zabrakło też w referacie szerszego kontekstu historyczno - literackiego, który pozwoliłby na tle porównawczym słuszniej określić postępową rolę wspomnianych pozycji. Mimo tych niedostatków interpretacyjnych, praca Zaworskiej zajęła miejsce w czołówce referatów zjazdowych.

Dość rozległą dyskusję wywołał szkic Jacka Trznadla o twórczości

HELENA ZAWORSKA

„NOWELE LWOWSKIE"

(Fragment referatu wygłoszonego na

ROK 1939 przyniósł doświadczenia, które pomogły do zrozumienia pewnych praw społecznych, jakich odkrycie w warunkach międzywojennych było trudniejsze dla ograniczonej ostrości widzenia inteligenckiego pisarza. Adolf Rudnicki, jak sam pisze, „brał pierwsze wtajemniczenia w historię", która ujawniała problemy dawniej przez niego nie dostrzegane lub nie widziane tak wyraźnie. Kiedy w roku 1939 Rudnicki znalazł się w radzieckim Lwowie, miał za sobą doświadczenia, które zdyskredytowały ostatecznie minioną rzeczywistość sanacyjnych rządów oraz w bezpośrednim zetknięciu ukazały grozę niemieckiego faszyzmu. Z jednej strony — radykalizujący już przed wrześniem pisarz został pozbawiony ostatnich możliwych złudzeń co do stopniowej zmiany warunków w ramach dawnego ustroju, z drugiej — życie we Lwowie przyniosło pierwsze zetknięcie z krajem socjalizmu, otwierało perspektywy innego, sprawiedliwego ułożenia stosunków między ludźmi, sprawiło niewątpliwie zwrot w formowaniu się nowego poglądu na życie społeczeństwa. Kontakt z działającym na terenie Lwowa środowiskiem postępowych pisarzy polskich nie pozostał chyba również bez wpływu na rozwój ideologiczny Rudnickiego. Rozwój ten znalazł wyraz artystyczny w pisanych w tym okresie nowelach lwowskich: „Koniu", „Józefowie" oraz „Blicu".

Realizm tych opowiadań stawia je na szczycie dotychczasowej twórczości Adolfa Rudnickiego. Odważny, lecz mimo wszystko dość niepełny i peryferyjny krytyk sanacyjnych metod, ukazujący w swych międzywojennych utworach stosunkowo wąskie wycinki ówczesnej rzeczywistości, w nowelach pisanych we Lwowie dostrzega już główny konflikt epoki oraz siły społeczne zdolne ten konflikt rozstrzygnąć. Bohaterowie jego opowiadań Zachariasz, oraz Joel Filut z „Józefowa" — to komuniści rekrutujący się z biedoty żydowskiej i w szeregach partii komunistycznych walczący o przekształcenie świata. Po raz pierwszy w całej twórczości Rudnickiego, obciążonej dostrzeganiem przede wszystkim człowieka-ofiary—widzimy ludzi walczących. Obok zawartego w „Żołnierzach" (1933) i „Lecie" (1938) obrazu człowieka słabego, ograniczonego w swej godności ludzkiej przez ustrój kapitalistyczny, daje teraz Rudnicki sylwetki nowych ludzi, tych, którzy świadomie i aktywnie działają w kierunku zmiany stosunków społecznych. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że nowele lwowskie stanowią jedyne opowiadania Rudnickiego, w których występuje bohater pozytywny, wypowiadający pozytywny sąd autora o świecie, reprezentatywny dla tej klasy społecznej, którą decyduje o rozwoju historycznym.

Po raz pierwszy i na długo w nowelach lwowskich — jedyny, zrywa Rudnicki z typem bohatera samotniczego, skazanego w swej samotności na zagładę lub wieczną bierną słabość wobec niszczycielskich sił ustroju, któremu nie potrafi się przeciwstawić. Bohater nowel lwowskich odnajduje swe związki ze zbiorowością, występuje jako jednostka walcząca o określone społecznie cele, losy jego są zdeterminowane udziałem w walce klasowej. Realizm pisarza zwycięża tu tak niepokojącą w całej jego twórczości skłonność do fatalistycznego traktowania losu ludzkiego w ogóle, a dziejów narodu żydowskiego w szczególności. Nie istnieje sztuczny, fałszywy podział: Żydzi i reszta społeczeństwa. Biedota żydowska, proletariat żydowski walczą solidarnie z proletariatem innych narodów (polskim, hiszpańskim). Zarysowany jest podział klasowy wewnątrz żydostwa: świadczy o tym wymowna sprawa pogrzebu „Konia", wyraźne odcięcie się od wspólnoty narodowościowej „ojca gminy", który Zachariasza określa tylko jedną wrogą nazwą: komunista.

W opowiadaniach lwowskich Rudnicki wyzwoli się od tendencji do absolutyzowania problemów, przenoszenia ich w sferę mniej lub bardziej wyizolowanych problemów moralnych. Dla autora międzywojennej „Niekochanej" i powojennej „Pałeczki" opowiadania te powinny stanowić przykład, jak niepełna w wiedzę o życiu i człowieku jest sztuka przeżyć „nie grubszych niż listek mydła" i jak prawdziwie wielką, wytrzymującą egzamin historii pozostaje tylko sztuka ukazująca wielkie sprawy swojej epoki, walcząca o wyzwolenie człowieka. Któż poza ciekawym historykiem literatury sięgnie w przyszłości do tych książek Rudnickiego, które jak „Szczury", notują wąziutki obraz niecodziennych, patologicznych stanów uczuć ludzkich? Na półkach bibliotek pozostaną natomiast na pewno nowele pisane we Lwowie, jako artystyczne świadectwo walki komunistów z rodzimym faszyzmem, jako jeden, z jakże nielicznych na owe czasy obrazów rzeczywistości sanacyjnej, ukazujących walczący proletariat, jako przykład prawdziwego mistrzostwa artystycznego.

Opowiadania lwowskie należą do największych osiągnięć artystycznych Adolfa Rudnickiego. Radykalizacji ideologicznej towarzyszyły osiągnięcia warsztatu pisarskiego, doskonalszemu rozumieniu świata odpowiadało doskonalsze opanowanie środków wyrazu. Mistrzowska konstrukcja krótkiego opowiadania, wielka kondensacja treści, oryginalność w artystycznym uogólnieniu typowych procesów — to cechy, które świadczą o wielkim talencie pisarskim Rudnickiego. Analiza uczuć i przeżyć bohaterów jest podana w sposób tak prosty, że aż zdumiewa siłą oddziaływania przy takiej oszczędności środków.

Kiedy Rudnicki napisze: „Syn śpiewał, ojciec myślał; „Koń mój śpiewa jak ptak..." — w tym zdaniu tak prostym, że aż surowym, jest od razu ton całego opowiadania, ton życia Zachariasza, upartego w walce, jak „Koń, który nie dał się wyprząc" i łagodnego w życiu osobistym, jak ptak.

Jest w „Koniu" i „Józefowie" prostota zdolna udźwignąć wielki patos walki bez jednego tonu sentymentalizmu, bez łatwych efektów. Do najpiękniejszych fragmentów należy może zakończenie „Konia", kiedy ojciec Zachariasza płacze nad grobem swego syna „płaczem, w którym żyła nadzieja — nadzieja, którą przynosi miłość ludzi". Stary krawiec Kagan po śmierci syna nie został sam: „Naokoło mówiono. Mówiono o krzywdzie, o niesprawiedliwości, o człowieku — ludzie oto znów mówili językiem ludzi". Jak prosto i jak głęboko wyrażony jest tu optymizm, który nawet w wypadku tragicznie zakończonego losu bohatera dominuje w ogólnym wydźwięku opowiadania, w przekonaniu, że giną jednostki, ale walka trwa i zwycięży obrona praw i wolności człowieka. Po raz pierwszy w prozie Rudnickiego pojawił się optymizm oparty na podstawach społecznych, a nie na ogólnikowej wierze w zwycięstwo wartości moralnych w człowieku. Zachariasz oraz Joel Filut z „Józefowa" są pierwszymi bohaterami Rudnickiego, którzy nie są bezbronni wobec niszczycielskich sił ustroju, poza którymi stoi nie przekonanie o beznadziejności sytuacji, lecz wiara w wywalczenie nowego, sprawiedliwego układu społecznego.

Jest w nowelach ukazane piękno postawy komunistów, społeczna i etyczna wartość ich życia, prawdziwy humanizm ich walki. Nie ma jednak szerokiego politycznego tła epoki, nie ma wielu zasadniczych realiów, osadzających wyraźnie walkę komunistów w rzeczywistości społecznej owych lat. Rudnicki jest obserwatorem, który widzi wprawdzie sprawy dla swych czasów najważniejsze, ale na plan pierwszy wysuwa aspekt ich wartości etycznej, ich humanizm — nie zaś treści polityczne i klasowe,

W POZNANIU

Mieczysława Jastruna. Autor pracy poprzestał na omówieniu trzech ostatnich tomów opublikowanych przez poetę; słusznie i poprawnie ocenił „Rok urodzaju", „Barwy ziemi", a wreszcie „Poemat o mowie polskiej" jako etapy dojrzewania poezji Jastruna do twórczej metody realizmu socjalistycznego. Uwagi o stylu poetyckim Jastruna poparte polemiką z niesłusznymi sformułowaniami Ludwika Flaszena w „Życiu Literackim" pozostaną z pewnością w naszej krytyce literackiej jako jej trwały dorobek. Oczywiście, praca Trznadla nie rozwiązała wszystkich wysuniętych problemów. Niepełnością grzeszyły stwierdzenia o twórczym stosunku poety do tradycji kultury narodowej.

Zjazd nie stworzył syntezy literatury powojennej — nie możemy jednak mieć o to pretensji, zwłaszcza, jeśli uprzytomnimy sobie, że autorami referatów byli nasi najmłodsi poloniści. Syntezy takiej nie stworzyła wszak jeszcze i nasza starsza kadra krytyczna. Mimo to referenci i uczestnicy dyskusji nie tylko trafnie wskazali na kierunek rozwojowy naszego pisarstwa, ale szczegółowo zanalizowali wiele zagadnień związanych z narodzinami i rozwojem tego kierunku. Większość referentów wykazała wreszcie ambicje przeprowadzenia wszechstronnej analizy utworów, analizy, polegającej nie tylko na ustaleniu postawy ideowej twórcy, ale i na rozpatrzeniu użytych w utworze środków wypowiedzi artystycznej i ich ideologicznej funkcji. W niektórych referatach były to jeszcze tylko ambicje; realizację tych założeń metodologicznych osiągnęły prace Zaworskiej, Berezy, Lama i Trznadla.

Pozytywne osiągnięcia Zjazdu zawdzięcza młodzież przede wszystkim pomocy pracowni literatury współczesnej Instytutu Badań Literackich, która przez cały okres przygotowań do Zjazdu czuwała nad pracą referentów, organizowała dyskusje nad poszczególnymi studiami, nie mało też przyczyniła się do organizacji Zjazdu. Zjazd przyciągnął również do współpracy niektórych zawodowych krytyków literackich. Kilkakrotnie wystąpił w dyskusji Ryszard Matuszewski. Dobrze upamiętnił się w historii obrad poznańskich Grzegorz Lasota — niejednokrotnie spiritus movens Zjazdu, żywy i czujny uczestnik większości posiedzeń, aktywny i celnie rozwiązujący wiele trudnych problemów dyskutant. Nie zabrakło również samych pisarzy: na rozpoczęcie obrad wygłosił przemówienie Jarosław Iwaszkiewicz, zaś Mieczysław Jastrun podzielił się z zebranymi ciekawymi uwagami na temat własnej pracy pisarskiej.

Poważny jest przede wszystkim wpływ Zjazdu na naukową i polityczną aktywizację wszystkich ośrodków młodzieżowych. Odbiło się to i w obfitości referatów, i w rozległości dyskusji. Bez przesady można stwierdzić że masy członkowskie Kół Polonistycznych wykazały w ciągu Zjazdu wielką żywotność, a żywotność ta wzrastała z każdym dniem obrad. Na mównicy dzielili się swymi uwagami z młodzieżą polonistyczna całego kraju ludzie nieznani jeszcze wczoraj, studenci drugiego, a nawet pierwszego roku polonistyki. Tym, którzy byli na Zjeździe, przypomnę pęczniejące stale listy dyskutantów. Poziom dyskusji z rzadka tylko obniżały wypowiedzi metodologicznie niedojrzałe, czy merytorycznie niesłuszne. Na ogół cechowała przemówienia dyskutantów rzeczowość wniosków, trafność krytycznych uwag. Kadra polonistyczna rośnie „wszerz" — to podstawowy wniosek wyniesiony z obrad poznańskich. Kadra polonistyczna rośnie także „w głąb". Z każdym rokiem pogłębia się jej świadomość polityczna, z każdym rokiem posługuje się ona coraz bardziej sprawnym narzędziem — krytyką marksistowską.

Dla obrad poznańskich charakterystyczna była zwarta konsolidacja ideowa młodzieży polonistycznej. Na VI Zjeździe nie było już właściwie linii podziału między obozem marksistowskim a idealistycznym. Nie było tej linii, ponieważ trudno „obozem" nazwać kilkuosobową garstkę epigonów krytyki idealistycznej. Ci ludzie wystąpili na Zjeździe albo z odwołaniem do przestarzałych, przez mole zżartych frazesów — albo też, widząc nieuchronne zwycięstwo literatury socjalistycznego realizmu i partyjnej krytyki literackiej, usiłowali przybrać „marksistowski kostium", by z takich „immanentnych" pozycji domagać się równouprawnienia dla „idealistycznego realizmu", który także podobno odzwierciedla rzeczywistość: tyle tylko, że kształtowaną przez „odmienne prawa". Dodajmy, że właśnie te „prawa" nic nie mają z rzeczywistością wspólnego i że są w istocie rzeczy konstrukcją scholastyczną, której kłam zadaje prawda życia. Te wszystkie — nieliczne zresztą — wystąpienia spotkały się z surową odprawą zarówno ze strony poszczególnych dyskutantów, jak i całego audytorium. Narzekał na tę surowość w rozmowach kuluarowych Stefan Kisielewski, skarżąc się, że zamiast „partnerów do gry w szachy" znalazł na Zjeździe zdecydowanych przeciwników ideowych i politycznych. Odpowiedzmy Kisielowi: naszym zdaniem dobrze się stało, że młodzież polonistyczna nie potraktowała obrad poznańskich jako „gry w szachy", jako intelektualnego „mah-jonga", jako beztroskich „igraszek uczonego dowcipu". Młodzi krytycy traktują poważnie własną pracę naukową. Młodzi krytycy z całym wyrobieniem politycznym odczytują przeciwstawność ideologiczną ukrytą w tych lub owych niefrasobliwych żartach. A postawa zajęta przez Zjazd wobec wypowiedzi Kisielewskiego jest właśnie — jak podkreślił w końcowym podsumowaniu obrad Andrzej Wasilewski — świadectwem wzrostu dojrzałości ideologicznej młodej polonistyki, świadectwem ideowej konsolidacji całej naszej młodzieży. Ta konsolidacja nie omija również polonistów studiujących na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Szczególnym optymizmem napełnia nas aktywny udział w obradach ze strony postępowych studentów KUL-u — zwłaszcza, że w wypowiedziach ich żar polemiki ideowej wzbogacony został o trafność argumentacji i rzeczowość wygłaszanych ocen.

Na zakończenie tych uwag jedno wspomnienie ze Zjazdu. Kiedy — przy końcu obrad — po odśpiewaniu hymnu młodzieżowego, parę głosów bez zapowiedzi zaintonowało „Międzynarodówkę", cała sala niemal w ciągu sekundy podchwyciła rewolucyjną nutę. Nie był to z pewnością przypadek. W ten sposób uczestnicy Zjazdu zadokumentowali raz jeszcze, że cała młoda kadra krytyczno-literacka nie uprawia już „polonistyki bez przymiotnika". Ich polonistyka, nasza wspólna polonistyka — to nauka służąca sprawie protetariatu i całego narodu, to nauka marksistowska.

Zbigniew Żabicki

ADOLFA RUDNICKIEGO

VI Zjeździe Młodych Polonistów)



Adolf Rudnicki

Walka komunistów w jego nowelach jest niezmiernie uboga w realia historyczne, w fakty, które dałyby uogólniony obraz wypadków typowych dla rewolucyjnej działalności KPP w latach trzydziestych.

Z tym ograniczeniem spojrzenia pisarskiego łączy się fakt, iż autor ani w „Koniu" ani w „Józefowie" nie zdecyduje się na bezpośrednie ukazanie faktów od strony głównego bohatera. Spojrzenie na nie oczyma widza, obserwującego ostatnie chwile umierającego na gruźlicę Joela Filuta, lub oczyma starego ojca Zachariasza, człowieka nie będącego bohaterem walki, lecz pośrednio z tą walką związanego — świadczy również o pewnym dystansie. Rudnicki nie decyduje się na zaprezentowanie nam swojego pozytywnego bohatera wprost, na ukazanie go w działaniu, w walce, w skomplikowanym kontekście zagadnień charakterystycznych dla walki prowadzonej przez partię komunistyczną. Postacie owych jedynych pozytywnych bohaterów jego opowiadań są uchwycone nie w momencie ich bezpośredniej walki klasowej — lecz w chwili, gdy schodzą już z placu boju, nie są pokazane wprost, lecz przepuszczone przez filtr obserwacji: w wypadku „Józefowa" — obserwacji autora będącego narratorem, w wypadku „Konia" — obserwacji starego krawca Kagana. Obserwacja ta, jak było to już powiedziane, dotyczy nie momentu szczytowego ich walki, lecz chwili jej bezpośredniego zakończenia.

Ten wybór sytuacji łączy się to także z charakterystycznym dla Rudnickiego przesuwaniem akcentów z pozytywnego, świadomego działania jednostki w społeczeństwie na akcenty tragizmu i cierpienia, jakimi naznaczeni są wszyscy jego bohaterowie. O ile jednak i w międzywojennej jego twórczości i w opowiadaniach okupacyjnych tragizm ten bywa jedynie tragizmem ginących ofiar lub reprezentuje fatalistyczną koncepcję losu ludzkiego w ogóle, o tyle w nowelach lwowskich nie zaciera on realizmu opowiadań: bohaterowie nowel giną w walce, która zostaje prowadzona dalej i której zwycięski koniec jest określony perspektywami rewolucyjnej walki proletariatu.

Ten charakterystyczny, przy całym realizmie tych opowiadań brak ostatecznego przezwyciężenia dawnego spojrzenia na rzeczywistość od strony ginących w niej jednostek, to skoncentrowanie uwagi na swym pierwszym bohaterze pozytywnym nie w okresie jego najściślejszych związków z życiem i społeczeństwem, lecz w chwili, gdy choroba związki te zrywa (Joel Filut) — to ograniczenie tematu (którego samo podjęcie jest niewątpliwym przełomem w twórczości autora) do peryfeycznego, w stosunku do możliwości, jakie temat ten nasuwał, odcinka — świadczy o pewnych ograniczeniach, typowych zresztą dla tego etapu przemian ideologicznych inteligenckiego pisarza, na którym ostrość politycznego widzenia pozwala na dostrzeżenie zasadniczego konfliktu epoki i sugeruje jego historyczne rozwiązanie, lecz brak ostatecznego wyjścia poza swoją warstwę i zajęcia miejsca po tej stronie barykady, po której walczy proletariat, utrudnia bardziej konkretne i klasowe sformułowanie programu pozytywnego, zmniejsza zakres obserwacji pisarza, jego doświadczenia społecznego, możliwość uchwycenia walki rewolucyjnej w całym jej powiązaniu ze społecznym tłem epoki. Na tle tych ograniczeń bardziej zrozumiałe staje się późniejsze ograniczenie realizmu w okupacyjnych opowiadaniach Rudnickiego.

Obok „Konia" i „Józefowa" do opowiadań lwowskich należy „Blic" (pierwotny tytuł „Wrzesień"), drukowany po raz pierwszy w „Nowych widnokręgach" w 1941 roku. W owym okresie było ono pierwszą próbą spojrzenia na doświadczenia wojenne. Opowiadanie nie ma ambicji całościowego ogarnięcia wypadków, rozpoczynających drugą wojnę światową. Jest raczej próbą ukazania fragmentu walk wrześniowych od strony doświadczeń szarego żołnierza. Ta postać szarego żołnierza nie po raz pierwszy pojawia się w prozie Adolfa Rudnickiego. Pamiętamy ją z jego dwóch książek o wojsku: „Żołnierzy" (1933) i „Doświadczeń" (1939). „Blic" jest jakby dalszym ciągiem tych książek W demaskacji sanacyjnego systemu wychowania, w ujawnieniu bezpodstawności mitu „armii" zawarł Rudnicki już w dwudziestoleciu akcenty przewidujące przyszłą klęskę. „Blic" przynosi obraz tej klęski. Rudnicki nie rozszerza w nim zasadniczo zakresu obserwacji, nie rozszerza perspektyw środowiskowych. „Blic" jest drobnym fragmentem wydarzeń września 1939 roku. Ale fragment ten oddaje realistycznie atmosferę tamtych dni, jest bogaty w realia, notuje tu Rudnicki wydarzenia ze ścisłością i dokładnością, nadającą opowiadaniu cechy reportażu. Pisze o rozbiciu organizacji wojskowej, o braku ubrania i broni, o ucieczce generałów, o żołnierzach, którzy „nie mogli stać się żołnierzami", bo nie mieli czym walczyć. Wartość „Blicu", jego realizm polega z jednej strony na ukazaniu zdrady narodu przez sanację, która wydała wrogowi kraj najzupełniej do walki nieprzygotowany; z drugiej zaś — na pokreśleniu patriotycznej postawy mas żołnierskich, ich zdradzonej gotowości obrony, ich obcości w stosunku do tych, którzy byli odpowiedzialni za klęskę. Na szczególną uwagę zasługują te fragmenty „Blicu", które notują fakty, mówiące o klasowym podziale społeczeństwa i których dostrzeżenie świadczy o dużej ostrości widzenia pisarza. Tak będzie z ukazaniem postaci Władysława Domaradzkiego, osiem lat siedzącego w więzieniu za działalność wywrotową na terenie wojska i po ucieczce administracji więziennej zgłaszającego się natychmiast do obrony kaju, tak będzie z wymowną sceną, kiedy po kapitulacji kapitan Łykaczewski wygłosiwszy łzawe, bogoojczyźniane przemówienie, spotyka się zamiast z oczekiwanym spontanicznym śpiewem — z milczącą obcością stojących bez słowa żołnierzy.

„Blic" był pierwszym opowiadaniem o Wrześniu, oddającym z wielką wyrazistością atmosferę tamtych dni. W zestawieniu z pozycjami takimi, jak „Sąd" Andrzejewskiego lub nowele Żukrowskiego z tomu „Z kraju milczenia" — opowiadanie Rudnickiego odbija zdecydowanie realistycznym potraktowaniem tematu, rozległością obserwacji, ostrością politycznego widzenia. W naszej literaturze o Wrześniu „Blic" pozostanie na pewno jednym z najciekawszych opowiadań. Zamyka nim Rudnicki realistyczne osiągnięcia swej twórczości na etapie doświadczeń lwowskich.

Helena Zaworska

JACEK TRZNADEL

O POEZJI MIECZYSŁAWA JASTRUNA



Mieczysław Jastrun

PISAŁ kiedyś Borys Pasternak w jednym ze swoich dekadenckich wierszy: „nigdy nie zgodziłbym się być ziemią". W wierszu Jastruna ze „Spotkania w czasie" (pierwszy tom Jastruna — 1929 r.) czytamy: „cięży mi cięższa od wszystkich planet ziemia". Charakterystyczne było dla dekadenckiej poetyki owo ahumanistyczne odejście od świata, w dziedzinę własnych wizji zdolnych „w każdej chwili prześnieżyć się w lotne zjawisko". Było to odwrócenie się od świata społecznych spraw i ono właśnie kazało im potępić ziemię — symbol życia. Dlatego nie przypadkowo swojemu tomikowi nadał poeta tytuł „Barwy ziemi". Jastrun dobiera szczególnie starannie tytuły swoich tomów — tak, że najczęściej nabierają znaczenia symbolicznego, charakteryzującego zawartość ideową tomu.

„Barwy ziemi" leżą na tej samej linii rozwojowej, jaką wytyczył poprzedni tom Jastruna — „Rok urodzaju". Ale mimo tego zaskakują nas nową jakością, pełnią przemian, jakie zaszły znów w postawie ideowo artystycznej poety. Jakże urosła konkretność obrazów poetyckich, umieszczenie utworów w ramach epoki, ich realizm. Jak wzrosła odpowiedzialność poety, jak pogłębiła się więź z narodem, solidarność z walką toczoną przeciw imperializmowi, jak wzrosła aktywność poety w tej walce.

Poeta wyzbywa się odkonkretnionego, podobnego niekiedy do psalmodycznych wersetów stylu, jaki spotykamy nieraz w „Roku urodzaju". To już nie pozbawione twarzy symbole ludzkiej nieprawości, pod którymi przedstawiał poeta niekiedy imperializm. To konkretne obrazy podpalaczy świata. Oto utwór „Przywitanie Eisenhowera". Widzimy konkretny adres polityczny, kierunek ataku, reakcję na żywe fakty życia politycznego. Oto przeniesione do literatury nazwiska zbrodniarzy: Hans Loerner, Hans Hochberg, Herman Pook, Krupp, Baier, Karl Sommer i wśród nich nieprzeciętny obraz podpalacza, obraz jakich mało w naszej współczesnej literaturze — Eisenhower:

Słyszycie? Trzeszczą belki jutrzejszych szubienic.
Sprawiedliwa jest zemsta ludów kiedy karzą.
Idzie przez światło sal jutrzejszy potępieniec,
W sztywnym mundurze, z zimną jak katafalk twarzą.

Przytoczone wyżej wyliczenie brzmiące prawie jak lista oskarżonych, to konkretność poezji aż do surowości dokumentu. To symptom walki wymierzonej przeciw konkretnym zbrodniarzom: „Ja ich tutaj słowem napiętnuję, sprawiedliwości wieków oddam ich nazwiska" — pisze poeta w tym samym uworze.

Poezję polityczną Jastruna cechuje czujność, podejmowanie najważniejszych tematów. Mówi o tym w „Barwach ziemi" „Ballada niemiecka", w której poeta rewiduje pogląd na stosunek do narodu niemieckiego, witając rodzenie się nowych Niemiec, mówią o tym strofy o walczącej Korei.

Niewielu naszych współczesnych poetów z równą siłą, co Jastrun wyraziło w swej poezji gorące przywiązanie do swego kraju, uczucie patriotyzmu, dumy narodowej. Charakterystyczna była w dwudziestoleciu pochwała sarmatyzmu u Lechonia, czy siły u Wierzyńskiego — ojczyzny starych krzywd społecznych. Oprócz poezji Broniewskiego jak trudno byłoby doszukać się w poezji tego okresu cech narodowych. Jakże nikłe było odbicie świadomości narodowej w sztuce burżuazyjnego pisarza. I tylko nieliczni zdobywali się na słowa pogardy dla ojczyzny krzywdy, wyzysku i niedoli mas ludowych — dla burżuazyjnego pojęcia ojczyzny, by myśleć o nowej Polsce, która nie będzie pełna ludowej krzywdy. Wątłe były echa tych przemyśleń w przedwojennej poezji Jastruna. Znajdziemy jednak echa goryczy, znajdziemy obnażenie pseudohasła wolności narodowej. Już jednak w okresie okupacji poezja Jastruna zdecydowanie i wyraźnie nasyca się patriotyzmem, odbija drogę, jaką zbliżał się do narodu radykalizujący inteligent, zbliżał się do jego walki z faszyzmem prowadzonej pod przewodem komunistów. Patriotyczny ton twórczości Jastruna w owym czasie nie posiada charakteru proletariackiego — pozostaje ogólnie antyfaszystowski. Również i bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości będzie Jastrun obnażał zdradę narodową rodzimego faszyzmu, notował fakty krwawej walki klasowej toczącej się w kraju. Będą to jednak pojedyncze wiersze. W każdym razie wyrośnięcie patriotycznego nurtu w poezji Jastruna nie zaskakuje nas u tego poety tematyką, ale na pewno siłą wyrazu, pełnią związania z narodem, patriotyzmem nowego typu. Poezja musiała zanotować wzrost ludowego patriotyzmu, wyrastanie mas ludowych, tworzenie się narodu socjalistycznego. Gorący ton patriotyzmu to typowa cecha realizmu socjalistycznego. Jeśli sztuka burżuazyjna wyrzuciła za burtę sztandar świadomości narodowej, służyła grupce antynarodowych smakoszy kosmopolitycznej „czystej sztuki", to poezja realizmu socjalistycznego wznosi wysoko sztandar dumy narodowej, uczestniczy w życiu narodu, odbija zachodzące w nim przemiany.

Nie przypadkowo wzrost tych elementów w poezji Jastruna staje się bardzo wyraźny w „Roku urodzaju" (1950). W „Barwach ziemi" widzimy pogłębienie się tego tonu, pełnię osobistego zaangażowania, widzimy polemikę z kosmopolityzmem.

Patriotyzm Jastruna to potępienie starzyzny, powstrzymującej rozwój narodu, to pochwała zachodzących przemian. To nie uwielbienie ludowego prymitywu. Tak będzie w „Liście Anny Żywioł", analfabetki, której władza ludowa dała do ręki książkę i pióro — utworze napisanym celowo surowym, białym wierszem, celowo upraszczającym środki wyrazu. Tak będzie w utworze „Stary chłop", pełnym miłości do ludu, sławiącym wieś traktorów, czy pełnym optymistycznej wiary w przyszłość utworze „W Nowy Rok". Dużo miejsca poświęca Jastrun zwłaszcza przemianom wsi polskiej. Ostrą walkę klasową na wsi wyraził poeta w wierszu „Własność", odważnie sięgając po najbardziej żywe konflikty, uwydatniając nieuchronność zwycięstwa *nowego* — wsi spółdzielczej. Ożywają nową urodą w poezji Jastruna opisy przyrody ojczystego kraju. Przypomina się twórczość polskich romantyków wzbogacona o tony nowe, uwarunkowane całą nowością historycznych przemian.

Jest jeden szczególny akcent charakteryzujący przemiany ideowe poety. To zamiana spojrzenia w przeszłość na spojrzenie w przyszłość. To nie żale nad utraconą „inną młodością", ale wybieganie w przyszłe, jasne dni. Przemianę tę określił poeta wprost w wierszu „Hejnał z wieży", w wierszu „Maleńki synek śpi"... Jeszcze wyraźniej uwydatni się to w następnym tomie (Poemat o mowie polskiej) w cyklu wierszy „O synku". Najpiękniej może wyraził to poeta w słowach:

To ona — rewolucja
Wyprzedza nasze kroki, serca nam popędza
I czas nam daje w ręce
Jak sztandar przechodni.

Nie zamilknie w „Barwach ziemi" ton rozważań nad sztuką, analiza własnych osiągnięć pisarskich. Jak i w „Roku urodzaju" rozważania te mają charakter społeczny, są dokonywane z pozycji społecznych. Mają jednak one w „Barwach ziemi" charakter o wiele bardziej jednoznaczny, nie są ukryte pod symboliką, jak to można było często zauważyć w tomie poprzednim. I tutaj mają charakter polemiczny wykraczający poza ramy twórczości samego Jastruna. Wskazują na społeczną nieprzydatność wszelkiego rodzaju pięknoduchostwa w sztuce, na szkodliwość odchodzenia sztuki od celów społecznych:

Znałem ciebie, proroku czterech przenośni,
Znałem ciebie, śnieżnopióry łabędziu.
Jak żal dzisiaj waszej młodości,
Z której już nic nie będzie!
Świecąc próchna gwiezdnego pyłem,
Chyba nigdy nie byliście młodzi.
Ja sam — co w tamtych latach uczyniłem
Dla robotniczej Łodzi?

Wyjątkowo jasno będzie mógł teraz poeta wyjść poza ramy polemiki i formułować program pozytywny. Społeczne i humanistyczne cele sztuki staną się ideową podstawą tego programu: „Prawdziwe słowa blask od słońca biorą twarzą do ludzi nie za ich plecami i stamtąd je dla ciebie tylko wziąłem". A włączając się do dyskusji poetyckiej stawiał Majakowskiego jako wielki wzór właściwego pojmowania celów sztuki i związania z rewolucją, jak pisze — „nieustające natchnienie", „Stację dalekobieżnych wzruszeń". Jednocześnie żywo protestował przeciw wulgaryzmowi pojmowania poezji Majakowskiego jako niewolniczego wzorca jako szablonu najwłaściwszych rozwiązań formalnych.

To zwrócenie się poety do wzorów realizmu socjalistycznego, do poezji radzieckiej, daje się odczytać w tomie, zresztą nie tylko w tonie ideowym. Oto symbol słońca, użyty parokrotnie przez Jastruna np. w wierszu „Stacja— Majakowski", „Słowa służą elektryfikacji uczuć" — symbol nawiązujący do Majakowskiego (Nieobyczajnoje prikluczenije bywszeje a Władimirom Majakowskim na dacze"). Nawiązuje poeta do tradycji pieśni rewolucyjnej. W „Odzie majowej" transponuje pięknie strofy międzynarodówki. Jednocześnie nadal czerpie poeta z tradycji narodowej — w składzie, obrazowaniu, wersyfikacji, w znamiennym dla Jastruna nawiązywaniu do tradycyjnych motywów. To wszystko jest dowodem na wyjście poety w formułowaniu i realizowaniu pozytywnego programu poetyckiego poza ogólne stwierdzenia, na przeniesienie ich do zagadnień formy poetyckiej, poszukiwań realistycznych nowych rozwiązań artystycznych. Jak bardzo np. zmienił się typ metafory. Jest w nowej metaforyce Jastruna poszukiwanie pewnych współczesnych nowych skojarzeń, branie ich ze świata nowych spraw, nowych problemów jakimi żyją ludzie naszej epoki. Rzucę dwa przykłady. „Słowa służą elektryfikacji uczuć" — w tej metaforze jest odwołanie się do zdobyczy, jakie niesie socjalizm, do symbolu jego osiągnięć. Metafora ta nie tylko jest nowa, zarazem zaskakuje nas swoją trafnością, naturalnością artystyczną. I drugi „Piec martenowski z myśli i woli wypala nam nową formę". I tutaj podobne zagadnienie jak w pierwszym przypadku. Jednocześnie widzimy ożywianie dawnych metafor, zmianę ich sensu, nadanie im nowego odkrywczego brzmienia. Przytoczę strofę z wiersza „Phenian":

Lecz gwiazdą ognia świeci światu
Phenian — wzlatuje ptak nadziei,
I wielka krew proletariatu
Jutrzenką wschodzi z gór Korei.

Jakiż zużyty zdawałoby się obraz — wschód jutrzenki. Tutaj nabiera on nowego znaczenia. To wschód nowej klasy społecznej. W zwrocie „ptak nadziei" jest nie tylko subtelne nawiązanie do poezji Wschodu — to symbol pokoju, który stał się czytelny w naszej epoce dla milionowych mas. Bierze również poeta pewne tradycyjne metafory, by nawiązując do ich treści rozwijać dalej zawartą w nich myśl. Widzimy tu nawiązania do tradycji poezji narodowej. Oto jak przekształcił poeta metaforę ukazującą siły ludu w dialogu Wysockiego w trzeciej części „Dziadów":

Ziemia, wieków ciąg cały — to nie gnój pokoleń,
Zmieszany z krwią, co może jutro zmierzchnie;
Wulkan wyrzuca żar, co tlił się w dole,
Na zimną powierzchnię.

Ten sam zwrot w utworze „Stacja — Majakowski": „Ludów lawa gorąca przestrzenie zalewa". Ta metafora pogłębia sens zwycięstwa proletariatu, mas ludowych — ukazuje je jako zakończenie walki toczonej przez masy ludowe o sprawiedliwość społeczną.

Nowe realia, nasycenie konkretnością, wtargnęły nie tylko do metaforyki Jastruna. Metafora przekształca się na ogół stosunkowo trudniej, dopiero po zmianie charakteru obrazów poetyckich, nasycenia obrazów, słownika realiami, nowymi zwrotami, całą sumą zanotowanych przez poetę nowych zjawisk. To widać wyraźnie w wierszach zawartych w „Barwach ziemi". Coraz silniejsze jest przechodzenie poety od pewnej ogólnikowości do pogłębienia konkretności obrazów, wchłonięcia współczesnych, charakterystycznych dla naszego doświadczenia realiów. Trudno wybrać jakiś najbardziej znamienny przykład — sądzę, że uderza to w ogólnym tonie wielu utworów.

Sądzę, że nie rezygnując z dalszej walki o jakość ideową i artystyczną swojej poezji poeta miał pełne prawo napisać w „Odzie majowej" optymistycznej afirmacji walki ludu i jego zwycięstw:

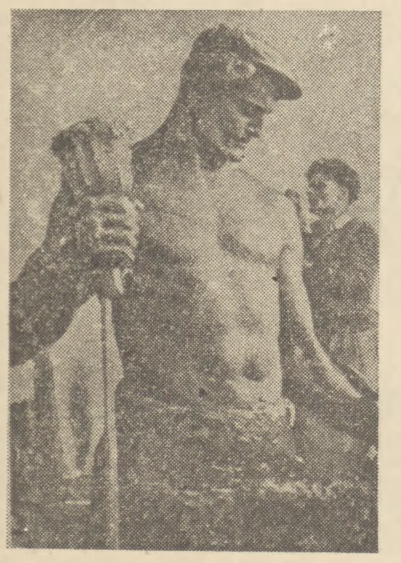
Niech cieniem służy nam drzewo liściaste,
Jak ja poezją swoją wam służę.
Nieście przed sobą czerwoną gwiazdę,
Nieście przed sobą czerwoną różę.

Jacek Trznadel

Fragmenty referatu wygłoszonego na VI Zjeździe Młodych Polonistów w Poznaniu.

ANDRZEJ BRAUN

CZUJNOŚĆ OBOWIĄZUJE



ŚLEDCZY milczał chwilę, patrząc mu prosto w oczy.

— Od kiedy pracujecie na stoczni? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Od czterdziestego szóstego roku.

— Na jakich oddziałach?

— Najpierw na remoncie, a od pół roku jako niter.

— Kiedy wstąpiliście do partii?

— Przecież mówiłem. W czterdziestym trzecim do PPR-u. Dziwię się, że nie słyszeliście...

Markowski nie wiedział, co zrobić z rękami. W świątecznym granatowym ubraniu czuł się skrępowany. W ustach miał gorycz od wypalonych papierosów.

— Gdzie pracujecie?

Wzruszył ramionami.

— Różnie. Na pochylniach. W dłubowni.

— Na remoncie też?

— A jakże.

— Wyjeżdżacie na statki?

Pytanie śledczego w wielu wypadkach brzmiały jak stwierdzenia. Można im było tylko przytakiwać. Michał był przekonany, że ten człowiek wie wszystko, a pyta ze względów czysto formalnych. Zrozumiał to natychmiast i postanowił mieć się na baczności.

— A poza terenem stoczni?

— No jakże! Jeśli statek jest pod załadunkiem, to nieraz trzeba robić dzień i noc, żeby skończyć remont, a nie przedłużyć postoju.

— Spieszy się wam do domu?

— Pewnie. Następnego dnia trzeba na rodmą do roboty.

— Spieszy wam się... — powtórzył funkcjonariusz Bezpieczeństwa. — Ale na handel i szmugiel to mieliście czas.

— Na szmugiel?... — Markowski pobladł.

— No, no. Nie udawajcie głuchego! Kto was do tego wciągnął? Was, gwardzistę!... — głos śledczego, gdy rzucał to pytanie, drgał hamowaną wściekłością. Oczy przybrały twardy, nieustępliwy wyraz.

— Mnie? Do czego? — dziwił się Markowski, starając się za wszelką cenę nie zdradzić zbyt nieopanowanym głosem.

— Mówcie prawdę!

Markowski milczał. Śledczy rzucił nań krótkie, uważne spojrzenie i wyjął z szuflady biurka jakiś przedmiot. Zważył go krótko w dłoni, po czym cisnął na stół przed oczy Michała. Złoty, metalowy krążek błysnął i zabrzęczał metalicznie o blat.

— „Twarde"! — powiedział pogodnie śledczy. — Znaleziono przy was.

Markowski przejechał ręką po włosach.

— Przy mnie?

— No, nie przy was, ale przy koleżkach z waszej brygady. Zresztą to nie ma znaczenia. Przecież razem chodziliście do portu i razem szmuglowaliście.

— Z kim?

Śledczy spojrzał nań ironicznie.

— To wy mnie pytacie? A z kim chodziliście?

— Z Minorowskim, Gołębiem, Leonem... innych nie znam.

— A właśnie, właśnie. O tych mi chodzi — powiedział zjadliwie śledczy.

— Chodziliśmy razem — bronił się Markowski — ale dzieliliśmy się na grupy niterskie i pracowaliśmy w rozmaitych miejscach. Ja mogę tylko odpowiadać za siebie i za swojego pomocnika, Leona. A przecież chodzili z nami i mechanicy, i elektrycy, i kotlarze. Każdy zaszyje się gdzieś na statku i robi na własną rękę. Cholera ich wie, jakie mają kontakty z załogą.

— Nie zalewajcie głodnych kawałków! — wybuchnął funkcjonariusz Bezpieczeństwa. — Powiedzcie od razu wszystko. Wasi kamraci siedzą już pod kluczem.

Markowski przełknął ślinę suchymi wargami. Przeraził się. A więc nakryli ich. I Leona też...

— Znacie inżyniera Wesołowskiego? — spytał śledczy, rysując piórem listki i trójkąty na skrawku papieru.

— Wesołowskiego? Dyrektora Zjednoczenia? Nie, nie znam.

— A od kiedy towarzysz Leon pracuje na stoczni?

— Też od czterdziestego szóstego.

— A nie wiecie, kto go zatrudnił na stoczni?

— Wiem. Inżynier Wesołowski. Ówczesny dyrektor Z.S.P. *)

— Skąd Wesołowski znał Leona?

— Leon jest reemigrantem z Francji. Był marynarzem. Wrócili razem z dyrektorem Wesołowskim z Zachodu. Podobno poznali się na okręcie i dyrektor, jak tylko objął stanowisko, dał mu zaraz pracę w stoczni. Wiem, że Leon sam się przede mną chwalił taką protekcją.

— Czy macie żonę? — spytał śledczy leniwie.

— Tak jest.

— Jak z nią postępujecie?

Markowski poczerwieniał. „W jaki sposób on ze mną gada, ten gówniarz"?

— Zwracam wam uwagę — wycedził — że to moja rzecz. Nic wam do tego, obywatelu.

Funkcjonariusz Bezpieczeństwa uśmiechnął się raptownie. Ostra jego twarz straciła natychmiast całą swą surowość.

— Wiecie, towarzyszu Markowski — powiedział wciąż z tym samym uśmiechem — człowiek składa się z różnych elementów i żeby go zrozumieć, trzeba poznać wszystkie. A ja chcę was zrozumieć — tak?

— Tak — odparł. — Ale za mało wiecie o tych sprawach. To osobny temat i nie należy do was.

— Nie, towarzyszu. Nie ma spraw „osobnych". Wszystko na świecie wiąże się ze sobą, a jedno wynika z drugiego.

Markowski odetchnął nieco i poczuł się raźniej. Skoro śledczy mówi doń per „towarzyszu", to znaczy, że sprawa jest na dobrej drodze. Dotychczas traktowano go jak oskarżonego, teraz przynajmniej mówią doń po ludzku. Rozkrochmalił się.

— Lubicie wypić? — spytał śledczy.

— A kto nie lubi — chciał to powiedzieć w formie dowcipu, ale jakoś nie wyszło.

— No, no. Wszystko ma swoje granice — oświadczył śledczy. — Wpadliście w długi. Przez pijaństwo zaplątaliście się. Przez wasze postępowanie staczacie się tak nisko, że stajecie w jednym szeregu z przemytnikami. Myślicie, że w ten sposób będziecie mogli dobrze pracować? Ani się nie obejrzycie, a już znajdziecie się w szeregach wrogów klasy robotniczej.

Oczy śledczego zabłysły, rysy nabrały ostrości brzytwy.

— Wiecie, co było w Elblągu? — spytał z naciskiem.

— Słyszałem, że podobno był pożar i że to zrobili sabotażyści.

— Podobno pożar, podobno sabotażyści! — wybuchnął śledczy. — Wy nic nie wiecie! Nie wiecie, jak byście dopiero na świat przyszli! Nie wiecie, że istnieje wróg, który tam ogień podłożył ręką takich wykolejeńców jak — niewiele przesadzając — wy! A kiedy ze spalonej hali udało się uratować obrabiarki i zamontować je w innym miejscu, jeszcze dwa razy ten sam wróg próbował je zniszczyć. Wiedział, gdzie uderzyć, żeby paraliżować produkcję. I ten wróg jest pośród was! Chyba tylko szuka narzędzi i wykonawców, stara się demoralizować klasę robotniczą, ażeby słabszych i podlejszych opłątać mackami wywiadu jak ośmiornica. On liczy na was. Żeby was rozpić i podporządkować sobie. Żeby codziennie rękoma waszymi przenosić nasz dorobek do kieszeni zagranicznych agentów. Dziś wam się lekki chleb uśmiecha, waluciarstwo i spekulacja, jutro wódka popchnie was do tego, że nie dziesięciodolarówkami, ale plany produkcji będziecie szmuglować cudzoziemcom. I wy dajecie się omotać przez nich, chcecie za ich pieniądze wsadzić nóż w plecy ludowi pracującemu? Nie ma to wrogów na samej stoczni, wśród naszych niterów? Sieją oni niewiarę, podrywają autorytet naszych haseł walki o podniesienie produkcji, budzą nienawiść do partii. A wy postępowaniem waszym dostarczacie im broni, plamicie imię pezetpeerowca! I kto? „Bury", gwardzista! Przecież wy byliście nasz człowiek. Najbardziej nasz. I co z was się zrobiło? Tfu!

Oficer Bezpieczeństwa, nachylony nad biurkiem, zaciskał gorączkowo pięści, oparte o blat. W twarzy jego zaszła tak raptowna zmiana, że Markowski najpierw przestraszył się, a potem — ogarnięty podziwem — wpatrywał się w jego płonące oczy zbliżone na odległość paru centymetrów. Rumieniec wstydu ogarnął czoło i policzki Michała. Dopiero po chwili odczuł płomień krwi w skroniach. Musnął go szybki oddech śledczego, przesycony zapachem tytoniu.

Bruzdy koło ust śledczego pogłębiły się, twarz cała przybrała wyraz wyrzutu i żalu. Było coś tak ujmującego w tej szczerości, z jaką wymyślał Markowskiemu, w tym osobistym traktowaniu całej sprawy, że rumieniec Michała stawał się coraz ciemniejszy. Poczuł do bezpieczniaka gwałtowny przypływ sympatii.

„Ale mnie zajechał — pomyślał. — to musi być ktoś ze starej gwardii. Jak to może być, że go nie widziałem?" Jednocześnie w miarę słów śledczego uświadamiał sobie swoją sytuację. Wiadomość o aresztowaniu kolegów z remontów przeraziła go. Rano nikt mu o tym na stoczni nie mówił. Czuł, że grunt usuwa mu się spod stóp.

— Nie potraficie nic opowiedzieć — grzmiał dalej śledczy — to może pozwolicie, że ja wam opowiem, jak bywa. Zdemoralizowaliście się, towarzyszu „Bury". Upijacie się po knajpach, maltretujecie żonę. Kiedy wam pieniędzy na wódkę nie starcza, właściciel knajpy wciąga was do lepszego interesu. Zaczynacie szmuglować walutę z cudzoziemskich statków w czasie remontów portowych. Wasza legitymacja partyjna, wasza godność robotnika stoczniowego jest wygodnym parawanem dla spekulantów, staje się nie gorszym towarem niż waluta. Wciągacie innych, mniej wyrobionych kolegów, organizujecie całą szajkę, osłaniając się wzajemnie. To nie brygadzista odpowiada za ludzi — to wy odpowiadacie, jako stary partyjniak! No a teraz powiedzmy, że dzieje się tak: wasi wspólnicy od złotodajnych interesów dają wam małą paczkę, żebyście wręczyli ją bosmanowi z „Empire Pearl". „Co to szkodzi — myślicie sobie — niech tam oni zarobią, zarobię przy nich i ja. Kto się o tym dowie?" No... — zrobił ustępliwy gest ręką — wysyłają was na inny statek, paczkę przekazujecie Gołębiowi czy Minorskiemu, czy któremukolwiek z tym samym poleceniem. Tylko, że nie udaje się. Pech chce, że wpadają z dolarami. A w pakiecie są plany rozbudowy stoczni i — po nitce do kłębka — wszystkich was łapią. No, co na to powiecie?

Mówiąc to śledczy, cały czas patrzył w oczy rozmówcy natarczywie, brutalnie. Poprzedni żar i podniecenie jego gdzieś znikły, głos nabierał metalicznego brzmienia.

W miarę słów funkcjonariusza Bezpieczeństwa, krew z policzków Markowskiego odpływała i twarz jego okryła śmiertelna bladość. Pod oczyma i koło nozdrzy powstawały sinawe cienie, jak u trupa. Kiedy oparł się łokciem o biurko, ręka jego ześliznęła się bezwładnie na kolana. Przełknął coś zeschniętymi ustami i na ostatnie pytanie śledczego odpowiedział z chłopska, jękliwą skargą:

— Ludzie, co wy?...

Natychmiast jednak krew wróciła mu do twarzy, spąsowiał, ogarnęła go niepowstrzymana wściekłość. Zaczął krzyczeć podniesionym głosem:

— To kłamstwo! To wszystko drańskie kłamstwo! Co wyście wymyślili? Ja miałbym być zdrajcą, agentem; i czym jeszcze? Czy wy doprawdy myślicie, że ja mógłbym coś takiego zrobić? Nieprawda! Nic żeście przy mnie nie znaleźli, w niczym nie brałem udziału! Pierwszy raz słyszę o tym wszystkim! Co wy ze mnie robicie? Ludzie, miejcie rozum! Nie znacie mnie? Toż ja krew przelewałem... Zresztą, czy to ja nie robotnik, nie cierpiałem od faszystów, nie byłem ranny w Gwardii? A z mojego ojca, nie wypijali krwi kapitaliści? Czy ja nie pracuję dla sprawy, nie wbijam nitów tymi rękami? Cóż wy ze mnie robicie szpiega, judasza, że ja partię mógłbym zdradzić?!... Ejże, myślicie, że tak łatwo szmatę zrobić z człowieka?!!

Chciał poderwać się z krzesła, ale śledczy położył mu rękę na ramieniu.

— Spokojnie. Siedźcie.

Wstał zza biurka i wyciągnął paczkę z papierosami. Markowski zgniótł papierosa w pięści, aż się tytoń posypał na kolano. Śledczy zapalił i odezwał się po chwili spokojnie.

— Nie mówię przecież, że tak było. Wy wiecie, jak było naprawdę. Ale tak *mogło być*.

Zaciągnął się dymem i dodał:

— Fakt, że ludzie, z którymi chodziliście na robotę, trudnili się przemytem, a wyście tolerowali to, osłanialiście złodziei, pijaliście z kolegami. Wyście byli ślepi, nie widzieliście co wam grozi. Dopiero kiedy wam pokazałem, dokąd prowadzi wasza ślepota, przeraziliście się.

Powrócił znowu za biurko.

— Tak, towarzyszu Markowski. Trzeba sobie uprzytamniać konsekwencje własnych postępków i niebezpieczeństwo, jakie na każdym kroku grozi. Wyście może osobiście nie popełnili przestępstwa, ale czy tylko o to chodzi? A to, co się z wami dzieje, to nie jest przestępstwo? Wstyd, towarzyszu Markowski! Wy, stary, oddany partyjniak, człowiek uświadomiony, pijaczyć się, żonę poniewierać... eeech, nie tak partia uczy. Staczacie się na lumpenproletariackie pozycje wroga klasowego. Nie tak trzeba. A ot, widzicie na przykładzie Elbląga, że wróg klasowy nie śpi. I jaką szkodę wyrządził, jaką szkodę... — twarz jego znów przybrała wyraz szczerej zgryzoty. Bruzdy przy ustach zaostrzyły się.

Andrzej Braun

*) *Z.S.P. — Zjednoczenie Stoczni Polskich. Obecnie Centralny Zarząd Przemysłu Okrętowego (C. Z. P. O.).*

Fragment powieści pt. „Lewanty", która ukaże się nakładem SWO „Czytelnik".

FRANCISZEK ZAWADA

LIST Z CZECHOSŁOWACJI

OD mojego przyjaciela, Zdenka, otrzymałem z Czechosłowacji list. Zdenek pochodzi z Knucic, a więc z terenu, w którym rośnie czechosłowacki Donbas, wielki kombinat metalurgiczny im. Klemensa Gottwalda.

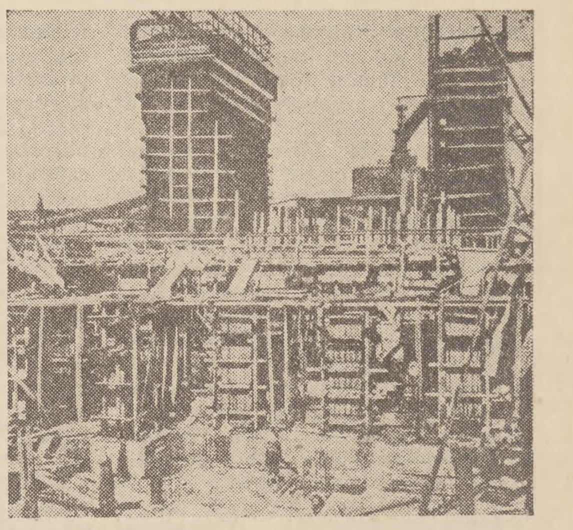
„Czy wiesz, czym były dawniej Knucice? Maleńką wioską, którą z trudem odnalazłbyś wśród ostrawskich wzgórz. Na pewno tyle samo wiedział Czech i Słowak o Knucicach, co wy wiedzieliście przed kilku laty o wiosce, gdzie powstaje dziś wasza Nowa Huta pod Krakowem. Smutnej wioski Knucice już nie ma. Wyrósł tu potężny kombinat dla produkcji żelaza i stali. Nieocenioną pomocą były wspaniałe maszyny radzieckie. I patrz, mimo trudności w dwa lata po rozpoczęciu prac ruszyła koksownia, a po tym dwa wielkie piece. Tempo budowy wielkiego kombinatu nieustannie narasta".

Wspomina też Zdenek o Huko. To krótkie słowo oznacza ogromny kombinat hutniczy w Słowacji, która w burżuazyjnej Czechosłowacji była źródłem taniej siły roboczej oraz dogodnym wewnętrznym rynkiem zbytu. Kraj zasobny w bogactwa naturalne i drzemiącą w rzekach energię elektryczną był krajem nędzy i zacofania. A dziś?

Rosną potężne elektrownie nad Wełtawą, na Orawie, na Chrudimce i kiedy ruszy Huko, zacofana i pogrążona niegdyś w nędzy Słowacja będzie produkować więcej stali, przypadającej na głowę mieszkańca niż wielkokapitalistyczna Anglia. A dzięki nowym hydroelektrowniom już w roku 1953 Czechosłowacja będzie dysponowała trzykrotnie większą energią elektryczną niż przed wojną.

„Ale — pisze Zdenek — nasze plany produkcyjne nie były wykonywane w roku ubiegłym. Nazywamy ostrawski okręg przemysłowy — stalowym sercem Republiki. Otóż to stalowe serce do niedawna nie biło właściwym rytmem. Nie trzeba było długo szukać przyczyny takiego stanu rzeczy. Proces Slansky'ego otworzył nam ostatecznie oczy".

Ostrawa nie wykonała planu w roku 1950 i w połowie 1951 roku. Nie wykonały planu i inne zakłady przemysłowe. A przecież taka brygada górnika Kotiatki z Kładna wykonuje już plany nowej przyszłej pięciolatki. A przecież brygada spawacza Doutnaca wykonuje 400 proc. normy. Dzięki takim ludziom przemysł czechosłowacki jest w stanie w roku bieżącym wykonać już plan pięcioletni.



Na budowie huty im. Gottwalda w Knucicach

„Po raz drugi — pisze Zdenek — wróg naszego narodu próbował wpędzić z powrotem kraj w niewolę kapitalistyczną. Pamiętam rok 1948. Wtedy to agentury burżuazji sięgnąć chciały na rozkaz anglosaski po władzę. Przetrąciliśmy im łapy. Ostatnio również ponieśliśmy wielkie straty. Ale potrafimy je odrobić, a nadto wyciągnęliśmy nową naukę, która przypomina mi słowa Fuczika: „Ludzie, kochałem was. Bądźcie czujni".

Slansky zeznał na rozprawie: „Wróg wewnątrz twierdzy — to najniebezpieczniejszy wróg. Może on otworzyć wrota. Ja właśnie byłem takim wrogiem" Na takich właśnie jak Slansky, Kostow, Rajk postawił imperializm.

Do roku 1948 wrogowie prawie jawnie sabotowali przeprowadzenie reformy rolnej, zachowując poważne obszary w rękach kolaborantów i obszarników, sabotowali nacjonalizację przemysłu, byle jak najwięcej zakładów utrzymać w rękach kapitalistów, sabotowali kontrolę państwową nad handlem zagranicznym. Wroga zdemaskował i zlikwidował jego jawne agentury Gottwald w lutym 1948 roku. To zwycięstwo pozwoliło Czechosłowacji wykonać pierwszy plan dwuletni przed terminem i z nadwyżką tworząc podstawy do budowy socjalizmu.

„Mówi się o naszym kraju — pisze Zdenek — że to kraj wysokouprzemysłowiony. Więc pocóż ta rozbudowa kombinatów i nowych hut? Mówi się o naszym standarcie życiowym. Więc po co tak rozbudowywać ciężki przemysł, skoro nie mamy natychmiastowych rezultatów? Widzisz jaką wróg prowadził u nas propagandę?

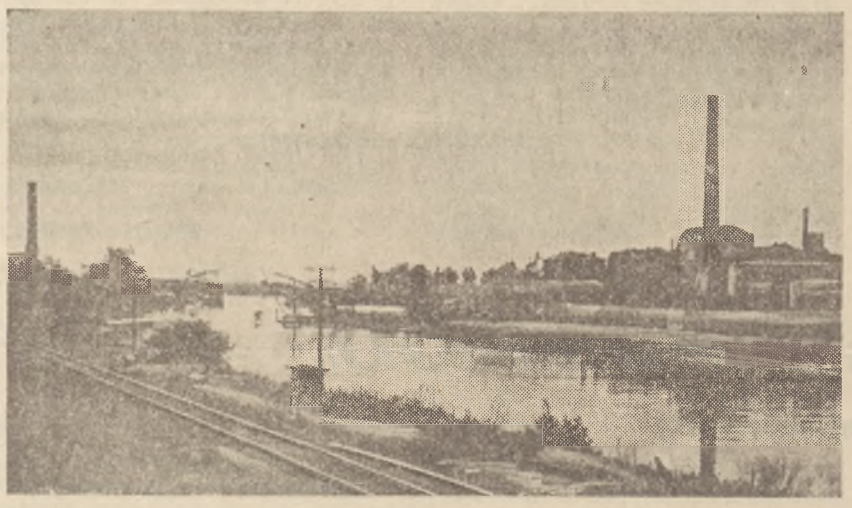
Bo Czechosłowacja tylko z pozoru należała do najbardziej uprzemysłowionych państw Środkowej Europy, w rzeczywistości była jednak kolonią międzynarodowego kapitału, ponieważ nie miała własnego przemysłu produkcji środków produkcji, nie miała swoich własnych baz surowcowych. Miała natomiast przemysł lekki, będąc w ten sposób całkowicie uzależniona od zagranicznych mocodawców. I dlatego przeciwko socjalizacji mógł występować tylko wróg naszej niezależności politycznej i gospodarczej kraju".

Jakże inaczej jak nie zbrodniczą robotą można nazwać fakty, wywożenia nowych maszyn jako wybrakowanych do Izraela, czym wydatnie wspomagano burżuazyjny rząd Ben Guriona, narzędzie Anglosasów? Kiedy Węgry Ludowe zgłaszają zapotrzebowanie na papier rotacyjny, wtedy klika Slansky'ego wysyła go do... Brazylii po niższych cenach. Kiedy Jugosławia titowska nie wykonuje od dawna swoich zobowiązań, wynikających z umów handlowych z Czechosłowacją, to podwładni Slansky'ego forsują wywóz do Jugosławii. Natomiast od Bułgarii żądano surowców, których ona nie posiada, ale tytoń sprowadzano ze zmarshallizowanej Turcji, choć Bułgaria ma go pod dostatkiem i w dobrym gatunku. Takimi sposobami klika Slansky'ego hamowała socjalizm.

Takich faktów, świadczących o metodach sabotażu i dywersji odsłonił proces Slansky'ego wiele. Zrozumiałe się stały pewne dodatkowe trudności, jakie przeżywała Czechosłowacja. Zdemaskowanie zbrodniczej roboty pozwoliło robotnikom czeskim i słowackim nie tylko wypełnić plany, ale i je przekroczyć! Ci, którzy przygotowali śmierć Fuczika, nie zdołali jednak zagłuszyć jego wspaniałych słów, tchnących prawdą życiową i siłą: „ludzie, kochałem Was. Bądźcie czujni".

Te słowa stały się dziś podstawowym hasłem KP Czechosłowacji.

Franciszk Zawada



JERZY LUBOSJAN

Z Ziemi Opolskiej

LATEM 1945 roku powróciłem na Opolszczyznę, którą opuścić musiałem w 1939 r., uchodząc przed armią hitlerowską. Wróciłem na Opolszczyznę, na Śląsk, do ziemi ojczystej i osiedliłem się w Zawadzkiem, w pow. strzeleckim, który w okresie plebiscytu wykazał największy procent ludności polskiej, a na skutek krzywdzącej wyraźnie komisji alianckiej, pozostał mimo to jeszcze szereg lat w granicach Niemiec.

Osiedliłem się w powiecie, którego ziemia najbardziej zroszona została krwią powstańców śląskich w czasach powstania śląskiego. Osiedliłem się w miejscowości w której 90 proc. mieszkańców to ludność miejscowa. Zastałem tu w dwóch szkołach podstawowej i średniej rumowiska z książek, pomocy naukowych i sprzętu szkolnego. W miejscowej hucie „Andrzej", w pustej zupełnie hali z powybijanymi szybami, huczał tylko wiatr a w domach mieszkalnych drżały wystraszone kobiety z dziećmi, bo mężczyzn uprowadziła cofająca się armia hitlerowska w głąb Rzeszy. Była tylko jedna pocieszająca rzecz na tle tych tragicznych warunków, że na Śląsku Opolskim pozostała ludność polska, a natomiast zaborcy — wyzyskiwacze, którzy w ludzie śląskim widzieli jedynie rezerwuar taniej siły roboczej oraz rezerwuar ludzi bezprawnie wcielonych do armii — ci wszyscy pierzchli wreszcie, a pozostała ludność rodzima, robotnik fabryczny i chłop śląski.

Ludność miejscowa u nas w Zawadzkiem, w powiecie strzeleckim i na całym Śląsku Opolskim z radością przyjęła pomoc braci i sióstr z Polski centralnej, ponieważ powierzono jej zadanie urządzenia się i zagospodarowania w swej ukochanej ojczyźnie.

Co rejestrujemy po siedmiu latach wytężonej pracy?

W Zawadzkiem nie było do roku 1945 ani jednego miejscowego Polaka, któryby ukończył szkołę średnią. Nie było przedszkolanki, nie było nauczyciela, nie było budowniczego, nie mówiąc o lekarzu, o prawniku czy o profesorze. Byli to ludzie prości, ludzie pracy, robotnicy i rolnicy. A dziś w Zawadzkiem istniejące liceum ogólnokształcące wypuściło już 91 maturzystów, z których 72 studiuje na uniwersytetach krajowych, i to na wszystkich uniwersytetach, politechnikach i akademiach. Dwóch studiuje w Moskwie.

Miejscowe Technikum, wybudowane w roku ubiegłym i oddane do użytku, wydało w roku bieżącym 120 techników dla naszego przemysłu. Hutę miejscową „Andrzej", pustą przed rokiem 1945, dziś wypełniają nowe maszyny, przysłane przez naród, który dał nam wolność, przez naród radziecki. I maszyn tych przychodzi coraz to więcej tak, że hale budowane przez dawniejszych kapitalistyczno - junkierskich Niemców okazują się za małe, trzeba je poszerzać i podnosić, a załogi hutnicze zwiększać. Buduje się również hotele robotnicze.

Ten sam rozwój przemysłu i szkolnictwa stwierdzamy w powiecie strzeleckim. Obok Zawadzkiego liceum ogólnokształcące zostało otwarte w Gogolinie w pow. strzeleckim. Dawniej istniało tylko jedno gimnazjum w Strzelcach. Poza technikum w Zawadzkiem, mamy dziś drugie technikum w południowej części powiatu strzeleckiego. Mamy uniwersytet ludowy w Błotnicy. Mamy powszechny rozwój szkolnictwa, który popiera ludność miejscowa, posyłając dzieci do tych szkół.

A fabryki rozrastają się w sposób podziwu godny. Fabryka narzędzi również w Strzelcach fabryka chemiczna „Pionier" Zdzieszowice, fabryka obuwia w Otmęcie. Ludność miejscowa nie może nadążyć za zapotrzebowaniami poszczególnych fabryk.

A przejdźmy dalej. Kędzierzyn, Łabędy, cementownia „Odra" w Opolu, fabryka tłuszczu w Brzegu, huta „Mała Panew" — i wiele innych, jak np. fabryka w Ozimku, przewyższająca w zabudowaniach o 90 proc. zabudowania z czasów dawniejszych.

Tak pracuje, tak uczy się i tak zagospodarowuje swoją ziemię opolską ludność od wieków polska, tam mieszkająca. Toteż pracuje z poświęceniem i wiarą, że to co robi, jest istotnie dla niej i dla Polski ukochanej.

I ta ludność, tak jak i cała Polska, głosem i czynem woła za pokojem. Dawniej zrywała się do walki, wylewała obficie swoją krew, dziś daje swoją pracę, swój trud i kroczy odważnie razem z 600 milionami ludzi, zwolenników i obrońców pokoju świata.

Jerzy Lubosjan

W SZEREGI KLASY ROBOTNICZEJ

(dokończenie ze str. 4)

Ci chłopcy, uświadamiam sobie to wyraźnie, *idą dopiero w szeregi klasy robotniczej*, lecz jeszcze w nie *nie weszli*.

Jakże silnie obciąża ich drobnokapitalistyczna wieś, mimo, iż żaden z nich od dawna nie miał w ręku, ani pługa, ani nawet bata na konia. *„Ja wolę swoją jedną maszynę, jak moja matka swoje gopodarstwo"* — słowa te dźwięczały mi długo w uszach. Ta nieprzezwyciężona tradycja drobnego posiadacza, ciąży jeszcze na jego synu i przeszkadza mu być brygadierem, hamuje drogę do socjalistycznego kolektywu.

Jakież wyjście? Kiedy wracałem ze Starachowic wzdłuż Kamiennej — widziałem budujące się osiedla. Na wzgórzach nad Wierzbnikiem i Skarżyskiem wyrosło wiele nowych domów. Któż to taki będzie tam mieszkał, jeżeli nie Jędrek Milewski ze swoją dziewczyną, jeżeli nie Cymerys?

I wtedy wejdą na stałe w szeregi klasy robotniczej.

Ale to nie wszytko. Doraźnie trzeba sobie powiedzieć bez osłonek: od młodzieży dużo możemy wymagać, ale wiele też musimy jej pomóc, pomóc w wyzwoleniu się z filisterskiej sytości i samozadowolenia, jakim praca fabryczna w pobliżu wsi uśpiła ich ambicje, jakim zahamowała przejściowo rozwój ich świadomości społecznej i aktywności. Stachanowcy nie wyrosną mechanicznie z chłopaków wiejskich, którzy mają w zapleczu chłopską wieś, rodzinę i dwie, trzy morgi.

Leszek Skrzydlo

JÓZEF MAJCHRZAK

PIEŚŃ, KTÓRA ZNALAZŁA OJCZYZNĘ

CZAS najwyższy, aby sprostować opinię jakoby na Dolnym Śląsku nie było miejsca dla badacza polskiej pieśni. Etnograf stanie tu wobec dwu poważnych problemów. Z jednej strony musi odtworzyć pieśń przeszłości nieraz ze szczątkowych form, z drugiej — podpatrzeć krzyżujące się wpływy współczesnej pieśni z dawną. Tutaj bowiem skoncentrowały się dziś elementy folkloru różnych regionów Polski. I tak: w pow. kłodzkim usłyszymy muzykę podhalańską, koło Swiebodzic wiekopolskie wiwaty, pod Trzebnicą pieśni krakowskie i świętokrzyskie, w Jordanowie Śląskim gra prawdziwa kapela z Nowotarszczyzny, a już w Bąkowicach powiatu namysłowskiego łączy się współczesna pieśń z rodzimą dolnośląską odgrzebaną ze starych zapisów lub pamięci ludności autochtonicznej. Dolny Śląsk przeżywa dziś ciekawy proces formowania własnego oblicza, obliczony na kilkadziesiąt lat. Na ogół mówi się, że pieśń śląska nie jest ciekawa, że jest przesiąknięta obcymi wpływami, zwłaszcza niemieckimi i wreszcie, że nie przedstawia większej wartości zabytkowej. Pogląd krzywdzący lud śląski i umniejszający jego wytwory kulturowe, został obalony na październikowej naradzie pracowników i działaczy kultury i sztuki w Szczecinie, gdzie zrodziła się myśl stworzenia „Zespołu pieśni i tańca — Śląsk". Mamy nadzieję, że zespół „Śląsk" odrodzi rodzimy folklor i ukaże go w pięknej szacie na wzór „Mazowsza".

Lud śląski z utratą wolności politycznej najwcześniej stanął wobec zagadnienia walki o byt i prawa narodowego. Toteż język i pieśń ojczysta odegrały tutaj rolę zasadniczą w obronie przed wynarodowieniem. Pieśń śląska jest ponadto najlepszym dokumentem mówiącym o polskości tych ziem. Kiedy w drugiej połowie ubiegłego stulecia zmieniano systematycznie polskie nazwy osiedli na różne „Dorfy" czy „Hofy" — pieśń śląska nigdy ich się nie wyrzekła. Śpiewano tedy dalej o Oławie jako o pięknym mieście, o Rozbarku, o Łagiewnickim polu, o zegarach w Opolu i o Wrocławiu — zawsze jako o polskim mieście.

Kaj mos wioneczek coch ci go dała,
Coch go we Wrocławiu wić kazała...

lub jak to jest w innej pieśni:

We Wrocławiu pod mostami,
Tańcowała Marionka z wojokami...

Mimo wielowiekowego otoczenia obcego, lud śląski miał wysoko wyrobione poczucie odrębności narodowej.

Śląsk wspólnie przeżywa wypadki historyczne, zgłaszając zawsze swój akces z resztą ziem polskich. Odpiera pod Legnicą w roku 1241 nawałę tatarską, wspomaga wyzwoleńczy ruch husycki, przymuje po jego upadku wypędzonych Taborytów, łączy się z Janem Sobieskim kiedy wiódł swe hufce pod Wiedeń. Wreszcie czynnie występuje w buntach chłopskich, a rzecznicy sprawy chłopskiej Marek Prawy i Pistulka Eliasz, pozostali w pamięci potomności.

W Imielnicy sądny dzień, od żałosnych zawodzeń,
Płaczą dziołchy i starzyki, baby, chłopy i dzieci.
Nie masz Marka miłego, cieszyciela naszego,
Przedał go zdrajca bez wiary, za judaskie talary.
Drzewa się ogibają, płącze nasze zmiatają.
Za tym Markiem co nam padał, ziemia i rola chłopom.
Nie ujrzymy zelżenia od pańskiego rzemienia,
Może dzieci co dziś płaczą, taką porę obaczą.

A w piosence zanotowanej z górą sto lat temu w okolicy Międzyborza niedaleko Wrocławia, tak lud opisuje dolę i wyzysk:

Ach mój miły Boże z wysokiego nieba,
Nie daj jeszcze długo służebnego chleba.
Bo ten służebny chleb krwawie zarobiony,
Jeszcze go nie kraję, już mam wymówiony.
Ukroję go sobie, jak dębowy listek,
Jeszcze wejrzą za mną, jeśli wezmę wszystek.
Już ja idę z hysy, idę za drzwiami,
Wejrzę na ten chleb, zaleję się łzami.

Lud śląski (mam tu wciąż na myśli Dolny Śląsk) czuł i myślał zawsze po polsku, a miasta na Śląsku i poza Śląskiem na Ziemi Poznańskiej lub Krakowskiej uważał za równorzędne miasta polskie. Toteż wzmianki w starych pieśniach napotykamy szczególnie często. Oto fragment pieśni z okolic Międzyborza zanotowanej przez Roberta Fiedlera.

Powiedźcie mię bez Kraków, mam ci ja tam pięć bratów.
Ci bracia mię wykupią, pięć tysięcy wysypią.
Powiedźcie mię bez Ostrów, mam ci ja tam pięć siostrów,
Te siostry mnie wykupią, pięć tysięcy wysypią.

Lub też piosenka z pogranicza Dolnego Śląska i Opolszczyzny.

Warszawa i Kraków, są to szwarne miasta.
Obiecał król pruski, iże je potrzaska.
Kościuszko odpisał iż go się nie boi,
W Krakowie, Warszawie pełno wojska stoi.
Maszeruje wojsko z rozkazu Kościuszki,
Na tym ostateczku, to ten mój miluśki.

Pieśń rodziła się tutaj spontanicznie na tle bogatych obrzędów i obrazowała treść życia Ślązaka. Obok pieśni lirycznej pełnej wymownych uczuć ludzkich, często spotykamy pieśń gniewu i buntu. O wielkim impulsie twórczym, świadczy szczególna pomysłowość w tworzeniu wariantów czyli odmian, opartych na temacie jednej pieśni. Na przykład samych wariantów opartych na melodii „Za Krakowem czarny las", istnieje na całym Śląsku ponad sześćdziesiąt. Tą drogą przeszło do śląskiej pieśni wiele motywów z pastorałek i kolęd Rzecz znamienna, że w żadnym wypadku nie przedostała się tu kolęda niemiecka w rodzaju „Tannebaumu", z którą każdy Ślązak zapoznać się musiał chociażby w szkole.

W drugiej połowie ubiegłego stulecia zaczęła się przesuwać granica językowa na wschód od Nysy i Odry. Na zjawisko to wpłynęła akcja germanizacyjna i rozwój przemysłu, który odciągał ludzi z zabiedzonej wsi do ośrodków miejskich Akcja ta trwająca od czasów rządów żelaznego kanclerza Bismarka, a idąca poprzez czasy Wilhelmów i Hitlera, w znacznym stopniu zahamowała dalszy rozwój polskiej pieśni. Co gorsza — pieśń zaczęła zanikać. W jej obronie stawali liczni ofiarni zbieracze.

W roku 1844 zasłużony działacz i pastor polski w Międzyborzu Robert Fiedler (na linii Oleśnica — Ostrów Wlkp.) pisze broszurę: „Bemerkungen uber die Mundart der polnischen Niederschlesier", czyli „Uwagi o gwarze dolnośląskich Polaków". W tym samym roku druku ją w wydawnictwie Wilhelma Gottlieba Korna we Wrocławiu. W broszurze mówi, że dialekt dolnośląski obejmował za jego czasów wsie następujących powiatów: Kluczbork, Namysłów, Syców, Brzeg, Oława, Oleśnica. Gwarę dolnośląską zalicza do bardzo starej, sięgającej historycznie do czasów Kochanowskiego. Stwierdza, że poza nielicznymi formami gramatycznymi przejętymi z języka niemieckiego, wolna jest ona od zasadniczych germanizmów, a słowotwórstwo jest czysto polskie. Tym dialektem jak mówi dalej, posługuje się około 120.000 Polaków-Ślązaków. W drugiej części broszury podaje dziewiętnaście tekstów do zanotowanych w Międzyborzu polskich pieśni.

Wprawdzie wszystkich pieśni zanotował 50, lecz te nie doczekały się naszych czasów, gdyż Fiedler wysłał je Towarzystwu Etnograficznemu w Gostyniu — a tam zaginęły.

Drugim ciekawym szczegółem o dokumentarnym znaczeniu jest wydrukowany w roku 1863 nakładem firmy Schlechter we Wrocławiu zbiór 545 pieśni zebranych przez lekarza niemieckiego dr Juliusza Rogera. Wprawdzie Roger zbierał pieśni na Górnym Śląsku, mimo to, kilka pieśni dolnośląskich weszło również do zbioru. Ujęty ich urokiem tak pisze w przedmowie:

...„na tych piaszczystych polach wyrosły wonne kwiaty pieśni gminnej, tam mieszkali wieszcze wśród ludu i z ludem, którzy najśliczniejsze wyśpiewali piosnki, tam żyli skromni kompozytorowie, których imiona dawno przebrzmiały lub może nigdy znane nie były, ale ich nuty orzeźwiające duszę i serca, nie zaginą dopóki lud żyć będzie. Pieśni te, po większej części wprost z ust ludu spisane przeze mnie, przez moich przyjaciół i inne osoby, które udało mi się nakłonić do zebrania pieśni. Jak wszędzie tak i tu po wsiach płeć żeńska głównie zachowuje pieśni gminne, to też piosnki moim zbiorem objęte prawie wszystkie pochodzą z ust niewieścich, a nie jedna ręka kobieca spisała dla mnie piosnkę ulubioną. Hoffmann z Fallersiebenu zasłużony wydawca pieśni ludu śląskiego (kustosz biblioteki uniwersyteckiej we Wrocławiu w roku 1823, drukował pieśni polskie w Schlesische Provinzialblätter — przyp. mój) opowiada, że jedna z wieśniaczek spod Wrocławia umiała wyśpiewać sześćdziesiąt pieśni. Tak samo i mnie nadmienić wypada na pochwałę wybornej pamięci jaką obdarzona była jedna z górnoślązaczek wiejskich śpiewaczek, że umiała na pamięć nuty i tekst przeszło 80 piosenek".

Ukazanie się zbioru wywarło na Niemcach wielkie wrażenie. Tłumaczyli wiele pieśni zbioru i wydawali je jako mniejsze śpiewniki, lub drukowali poszczególne pieśni w czasopismach. W dwa lata później lekarz Albert Weiss, tłumaczy cały zbiór Rogera na język niemiecki i za namową Hoffmannna z Fallerslebenu wydał 50 pieśni pt. „Album polnischer Volkslieder der Oberschlesier". Popyt na zbiór Rogera był tak wielki, że w dwadzieścia lat później zaszła potrzeba drukowania następnego wydania. Tym razem cenzura Bismarka skreśliła przedmowę, zezwalając jeno na druk samych pieśni. Widać, że apoteoza obiektywnego Niemca Rogera, była mu nie w smak, gdyż zbyt dobitnie uwypuklała polskie tradycje Śląska.

Pieśń śląska, tłumiona przez długi czas politycznego i społecznego ucisku, nie zaginęła. Ten sam lud, któremu zamknięto usta, któremu kazano wyrzec się polskiej mowy i pieśni, doczekał się dnia wolności. Odwaga, patriotyzm nieustępliwość i umiłowanie polskich tradycji pozwoliły mu doczekać się czasów, w których stał się prawdziwym gospodarzem tej ziemi.

Jerzy Majchrzak

KRYSTYNA PAŁYS

KIEDY STANĄŁ NA MÓWNICY...

NIKOMU tak nie bili brawa na lubelskiej naradzie chłopów z robotnikami, jak Pawłowi Kołtunowi z Wolawca

— Chłop ma łeb na karku! Nie da sobie mieszać kaszy — chwalono przemówienie.

— Kołtun, Kołtuna, Kołtunowi — odmieniały dzierlatki z różnych liceów, w przerwie obstąpiły go kołem. A Kołtun rozparł się na krześle, jak profesor, zakurzył machorkowego, wyjął notes i dyktował pannom z kółek miczurinowskich wyniki swoich doświadczeń.

Słyszeliśmy o nim już dawniej. Podobno prowadził „jakieś" doświadczenia, taki sobie samorodny miczurinowiec z Wolawca — Więcej krzyku niż pożytku z tych doświadczeń. Chłopek - roztropek robi więcej szumu niż cała jego robota warta — myślał nie jeden. Doszło jednak do tego, że zaproszono Kołtuna na to spotkanie w teatrze.

Wyszedł na mównicę chłop już niemłody, chudy jak chart a długi jak tyczka od grochu. W ręku dźwigał bardzo sfatygowaną teczkę, a tak wypchaną, że lada chwila mogła pęknąć.

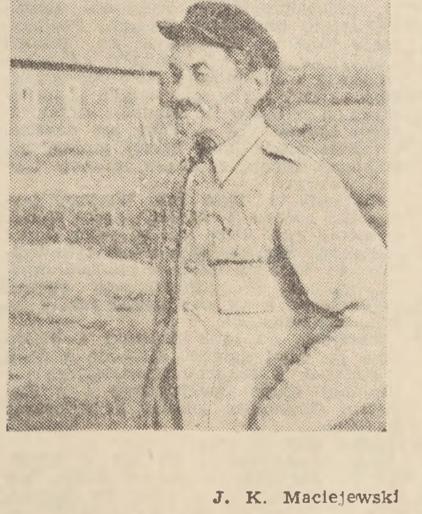
— Po jakie licho taszczy to aż na estradę — dziwili się ludzie — boi się, że mu ukradną? Będzie sto pociech z tego żurawia!... A Kołtun ukłonił się i zaczyna prosto z mostu:

— Prosty chłop jestem z Wolawca w gminie Żmudź powiatu chełmskiego. Chciałbym opowiedzieć wam o moich doświadczeniach, ale muszę z góry zaznaczyć, że chłop nigdy nie zobaczy tak prędko wyników, jak robotnik w fabryce. Musi czekać cierpliwie całymi latami na to, co chce zobaczyć i dlatego moje doświadczenia trwają od 1931 roku. Wtenczas sprowadzili z Ameryki do nas koński ząb Roślina stamtąd rodem, trochę podobna do kukurydzy, a daje do tysiąca i dwustu kwintali zielonej masy. Krowy mają po niej bardzo dobre mleko, bo zawiera 10 procent cukru.

Ja wprawdzie Ameryki nie widziałem, ale kawał świata zwiedziłem, podczas Rewolucji Październikowej byłem w Rosji. Słuchałem nawet na jednym wiecu przemówienia Lenina i widziałem Stalina, ale nie o rewolucji teraz chciałem mówić. Chciałem potwierdzić to, co powiedział przede mną profesor, że w Związku Radzieckim jest inny klimat i inna gleba niż u nas, tak samo i w Ameryce musi też być inna. Gdy zabierałem się do uprawy końskiego zębu, myślę sobie: Kupić nie kupić, sprobować nie zaszkodzi; Zasadziłem nasienie na zagonie. Po czterech latach miałem już nasienie takie, że dojrzewało.

W roku 1949 zjechała do mnie w jesieni wycieczka z Ministerstwa Rolnictwa, oglądali wtedy moje poletka i władza ludowa pomogła mi w prowadzeniu dalszych doświadczeń. Zaprosili mnie nawet na zjazd chłopów-miczurinowców. Dostałem na nim różne książki z opisem doświadczeń Miczurina, przeczytałem wszystko od deski do deski i zabrałem się znów do roboty. W rok później udało mi się wyhodować koński ząb z trzema kolbami na jednej łodydze Wydajność z hektara miałem teraz dużo większą.

Nasienie brali ode mnie z różnych stron kraju, z Poznańskiego, Rzeszowskiego, Białostockiego, z instytutów i uniwersytetów. Pokazałem, że możemy się obejść bez amerykańskiej łaski!



J. K. Maciejewski

(W tym miejscu słuchacze po raz pierwszy walnęli brawo Kołtunowi)

Potem przyszła mi do głowy nowa myśl. Jeśli koński ząb może dojrzeć u nas w krótszym czasie, to dlaczego kartofel nie może? Wysadziłem 19 lipca kartofle na zagonie po rzepiku. Cała wieś śmiała się ze mnie, nawet własna żona.

— Ogłupiał mój stary do szczętu. A ja jej na to: Chcesz ze mną wojny, będzie między nami walka klasowa! Bo widzicie ja tak nazywam sprzeczki z nią.

(W tym miejscu sala huknęła śmiechem). Kołtun nabrał jeszcze większej swady i dalej prawi:

— Co powiecie na to, udało się. Ziemniaki urosły. Trochę później niż inni zebrałem na tym zagonie 90 kwintali z hektara. Cała wieś zlatywała się na moje pole. A ziemniaki, były jak ziemniaki, miały tylko trochę cieńszą skórkę i zabarwienie odmienne, ale przechowywały się dobrze. Wysłałem je na lubelski uniwersytet do zbadania.

W tym miejscu Kołtun sięgnął po teczkę i wyciągnął ładny, okrągły kartofel.

— To ze zbiorów sadzonych w lipcu. W Wolawcu już sadzą ziemniaki po rzepiku Micz, Chudoba, Ozimek i Szafrański. Dwa razy zbieramy z pola w jednym roku! (Znów brawa!)

— W tym samym czasie zrobiłem doświadczeniem z jęczmieniem i kukurydzą na skrócenie okresu dojrzewania. Jęczmienia zebrałem 20 a kukurydzy 50 kwintali w przeliczeniu na hektar.

Mam jeszcze w toku 2 doświadczenia z burakiem cukrowym, który leżał dwa lata w glebie i wydał nasienie, a trzeba wiedzieć, że moje buraki mają po 18 procent cukru, czyli o jeden procent więcej niż inne. Drugie doświadczenie — to sadzenie kartofli bez kartofli. (Śmiech na sali). — Czemu nie, wesoła to próba. Sadziłem na wiosnę kiełki wypuszczane z bulw. Odłamywałem je i wkładałem do gleby a potem lekko przysypałem ziemią.

(Kołtun wyjął z teczki pęk zasuszonej naci i pokazał kawałek starego strupieszałego pędu. — I co, i co? — posypały się pytania).

— I z niego wyrósł normalny krzak. Pozakładałem pólka i robiłem doświadczenia z sadzeniem. Nawet zrobiłem tabelkę zbiorów. Na dwumetrowym pólku miałem z dużych kłębów 5.8 kg, z małych — 3,20 kg, z ziemniaków krajanych — 4,40 kg, ze średniaków — 5,20 kg z pędów 5,40 kg, a z oczek — 6,80 kg kartofli.

Gdyby tak udało się tymi pędami na szerszą skalę, każdy chłop mógłby odłożyć przy sadzeniu ze 20 metrów na karme dla krowy albo tucznika. Próbujcie a sami przekonacie się że nie kłamię. (Teraz klaszczą robotnicy lubelscy i chłopi).

Z uniwersytetu lubelskiego dostałem nasienie sorga i kapusty abisyńskiej Kapusta ta nie daje się tak łatwo opanować szkodnikom, jak rzepak a olej ma nie gorszy. Sorgo znów jest podobne do prosa. Robi się z niego różne miotełki i szczotki, a nie wiadomo jeszcze, czy nie byłaby i kasza, ale na razie mamy innej dosyć.

(Kołtun sięgnął po raz trzeci do teczki i wyciągnął suchy pęd sorga, rozprostował go i zmierzył z własnym wzrostem. Wiecheć sięgał wyżej jego głowy — a wzrostu był słusznego).

Sala znów zagrzmiała brawami a lubelski miczurinowiec ciągnął:

— Robię to wszystko dlatego, że idziemy kupą, gromadą. Że będzie z tego miał pożytek mój brat, syn, przyjaciel, sąsiad — klasa robotnicza, miasto! Siódmego listopada tego roku byłem zaproszony do Belwederu i rozmawiałem z naszym dawnym Prezydentem a dziś Prezesem Rady Ministrów, Bolesławem Bierutem. Pogadaliśmy sobie niedługo, bo jedną godzinkę. Powiadam wam taki byłem wzruszony, że gdyby mi nawet dawali sam nie wiem co... nie wyrzekłbym się tej rozmowy. Bo w 1931 roku, kiedy powiedziałem, że chcę hodować na moim zagonie koński ząb, wyśmiali mnie i nazwali zwariowanym chłopem. — Co on Amerykę chce robić u nas? — kpili. Ja Ameryki nie zrobiłem, ale koński ząb o trzech kolbach wyhodowałem i kartofle dwa razy do roku zbieram z pola. A nasza Polska Ludowa, jak tak razem popracujemy, będzie bogatsza od Ameryki!

(Nie wiem, jak inni ale ja a prawdopodobnie większość nas na sali dopiero teraz bijąc ostatnie brawa, dostrzegliśmy na klapie marynarki Kołtuna Medal i Krzyż Zasługi.)

Krystyna Pałys

JAN KOPROWSKI

Zapiski

DZIEJE JEDNEJ POWIEŚCI

TEMATU do jednej z powieści dostarczyło mi życie rodzinne brata mego ojca — stryja Adama. Oczywiście każdej z występujących postaci dałem inne imię i nazwisko i nikt z tak zwanych osób postronnych nie mógł się domyśleć, o kim mowa. Nawet druga żona stryja, opisana przeze mnie w



Rys. Bimali Horska

powieści, nie wiedziałaby o niczym, gdyby nie jej pasierb — Zenon. — Odbywał on służbę wojskową w Warszawie i był ze mną w kontakcie.

On to, jadąc na urlop do rodzinnej wsi zabrał z sobą również moją książkę.

Nie wiem dokładnie jak tam było, to jednak wiem, że wieczorem czytał powieść na głos i gdy doszedł do opisu drugiej żony głównego bohatera, tj. mojego stryja, oświadczył macosze, że to właśnie ona. Macocha wyrwała mu książkę z ręki i sama zabrała się do czytania. Istotnie mogła odnaleźć w opisie pewne cechy swego zewnętrznego wyglądu. W powieści znajdowało się takie na przykład zdanie: „Córka Nowaka nie była urodziwa, miała czarną cerę, ludzie mówili o niej, że na chrzestnego diabła jej widać zmówiono; po prawej stronie twarzu rosła jej duża owłosiona brodawka".

— Nie masz pojęcia, co się po przeczytaniu tych słów zaczęło dziać — opowiadał mi później Zenon. Matka zaczerwieniła się z miejsca i z całej siły szmyrgnęła książkę w kąt.

— Co on tam wypisuje, że diabła mi na krzestnego zmówiono — wykrzykiwała. — Co to, nie urodziłam się jak należy?

Chodziła po izbie zdenerwowana do najwyższego stopnia, w pewnej chwili podniosła książkę z kąta i podeszła z nią do kuchni, gdzie właśnie trzaskał wesoło ogień.

— Spalę to diabelstwo, spalę. Na taki wstyd mnie narazić, mój Boże! Na próżno Zenon usiłował jej wytłumaczyc, że to przecież zmyślone postacie, że nikt nie będzie miał pojęcia, o kogo tutaj chodzi. Ale ona nie wierzyła.

— Cały świat teraz wie, że to mnie opisano. Jak ja się ludziom na oczy pokażę. O, ja nieszczęśliwa. Spalę, spalę!

— A nawet, jeśli mama spali, to cóż z tego. Tej powieści wydrukowano dziesięć tysięcy egzemplarzy.

— Ile?

— Dziesięć tysięcy.

Stryjna chwyciła się za głowę, potem wyjęła z szuflady chustkę i pokropiwszy ją octem, okręciła sobie głowę dookoła.

— Pojadę do miasta i wykupię te wszystkie powieści — odezwała się znowu po namyśle.

— Musiałaby mama jeździć po całej Polsce — perswadował Zenon.— Książki rozsyła się przecież do każdego miasteczka.

— O, ja nieszczęśliwa!

Ostatecznie książki nie spaliła. W ciągu kilku wieczorów przeczytała ją do końca i oddała Zenonowi bez słowa. Była to jej pierwsza przeczytana powieść.

Niechybnie puściłbym całą tę historię w niepamięć, gdyby na ową wieś nie udała się razu pewnego moja matka. I znowu powtórzyła się scena podobna.

— Początkowo bardzo się zawstydziłam — opowiadała mi matka po powrocie. — Zapomniałam, jak to się mówi, języka w gębie. Ale wnet przypomniałam sobie, że ty i o mnie pisałeś i że jest tam takie zdanie, że wcale nie jestem ładna.

Macocha Zenona nie chciała wierzyć.

— Naprawdę tak napisał? — Spytała.

— Naprawdę.

— No, a wy co na to?

— A nic. Przecież nie jestem królowa. Prawdę napisał, a o prawdę gniewać się nie można. Ale napisał, że jestem dobra, a to więcej znaczy, niż wszystko inne. A o waszej dobroci też napisane, przeczytajcie tylko.

— Czy on wie, że ja tak się złościłam? — spytała nagle mej matki.

— Kto?

— No, ten pisarz, wasz syn.

— Ej, chyba nie, bo i skądże miałby o tym wiedzieć.

— To nie mówcie mu, złociutka, że się gniewałam. Pozdrówcie go ode mnie i podziękujcie, że tak to wszystko akuratnie i do śmiechu opisał. A jakby miał czas, to niech tu do nas przyjedzie, bo się tu dużo zmieniło i miałby znowu wiele do napisania.

ŚMIERĆ DZIADKA

DZIADEK mój był człowiekiem po prostu prześmiesznym. Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek w naszej bliskiej i dalszej rodzinie miał weselsze od niego usposobienie. Nic nie brał na serio, ze wszystkiego drwił ku wielkiemu zgorszeniu babki, kobiety cichej i pobożnej. Babka miała na imię Ewa, ale dziadek mawiał do niej zawsze „Jewka". Czasami ją to drażniło, zwykle jednak nie zwracała na to większej uwagi. Szczerze bolała jedynie nad „brakiem powagi u dziadka". Gniewało ją, że dziadek lubi chodzić w odwiedziny, na wesela, pije wódkę, śpiewa i tańczy. Ale najdziwniejsze w tym wszystkim, że dziadek chętnie zabierał babkę ze sobą. Gdy się opierała, mówił do niej:

— Chodź, Jewka. Co ludzie powiedzą, jak mnie zobaczą samego. Pomyślą, żem wdowiec i jeszcze wydać mnie gotowi. Cóż miała babka robić po takich słowach? Naturalnie zabierała się z dziadkiem, a potem, gdy się upił i śpiewał, bardza była temu nierada i wymyślała mu szkaradnie:

— Uchlałeś się, jak świnia.

— Jak człowiek, Jewka, jak człowiek. Świnie nie piją.

I co było z takim robić? A przecież muszę powiedzieć, że bardzo się oboje kochali. Dziadek w ogień by za babką skoczył, a i ona przywiązała się do niego całym sercem. Dziadek był wysoki, miał długie siwe wąsy i chodził w butach z cholewami. Nigdy nie widziałem go w kamaszkach. Nie przypominam sobie również, aby chorował kiedy obłożnie. Postękać i skarżyć się zaczął dopiero mając lat siedemdziesiąt. Ale i wtedy nie kładł się do łóżka.

Babka poczęła go namawiać, żeby udał się do doktora.

— Jedź, Franuś (Franek było dziadkowi), może ci co dobrego przepisze.

— Pojadę chyba po to, żeby ci nie robić przykrości. Bo ja tam w eskulapów nie wierzę.

— A czy ty wierzysz w cośkolwiek? — zapytała babka.

— Wierzę.

— Ciekawam, w co?

— W ciebie, Jewka, w ciebie.

Wrócił obładowany lekarstwami. Ze wszystkich kieszeni zaczął wyjmować buteleczki i ustawiać je na stole.

— I co masz z tym robić,

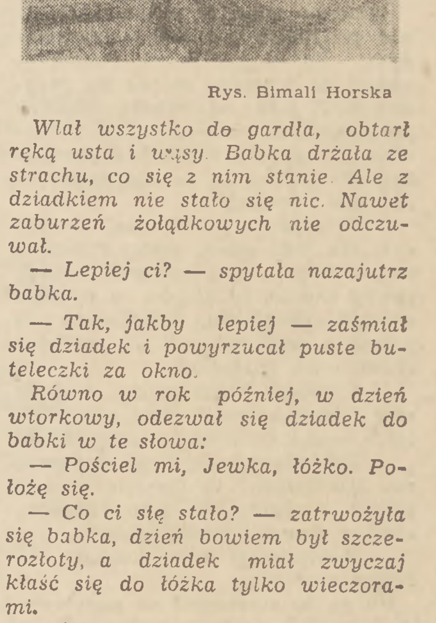
— Pić, Jewka, pić. — Rozpalajno ogień na blasze.

Dziadek pozlewał wszystkie lekarstwa do jednego garnka, postawił na kuchni, żeby się nieco ogrzało i popróbował.

— Gorzkie, psiamać. Daj-no, babka, miodu.

Wpakował kilka łyżek, wymieszał i znowu jął kosztować.

— O, widzisz, teraz to zupełnie co innego. Smakuje jak herbata.



Rys. Bimali Horska

Wlał wszystko do gardła, obtarł ręką usta i wąsy. Babka drżała ze strachu, co się z nim stanie. Ale z dziadkiem nie stało się nic. Nawet zaburzeń żołądkowych nie odczuwał.

— Lepiej ci? — spytała nazajutrz babka.

— Tak, jakby lepiej — zaśmiał się dziadek i powyrzucał puste buteleczki za okno.

Równo w rok później, w dzień wtorkowy, odezwał się dziadek do babki w te słowa:

— Pościel mi, Jewka, łóżko. Położę się.

— Co ci się stało? — zatrwożyła się babka, dzień bowiem był szczerozłoty, a dziadek miał zwyczaj kłaść się do łóżka tylko wieczorami.

— Nic, umrę sobie.

— Ciebie się wciąż żarty głupie trzymają.

— Nie żadne żarty. Nie czas mi już, czy jak?

Babka nie wiedziała co robić. W końcu łóżko posłała. Dziadek położył się na wznak i patrzał w sufit.

— To może księdza poprosić?

— Nie potrzeba mi żadnego księdza.

Ale babka poszła, przestraszona, na plebanię.

— Takaś ty? — tak pewnie myślał sobie dziadek — woli mojej ostatniej nie słuchasz? No to zobaczymy, kto będzie pierwszy: czy ty z księdzem, czy ja ze śmiercią.

Bo gdy babka wróciła, dziadek leżał już całkowicie uspokojony. Na twarzy błąkał mu się jeszcze szelmowski uśmiech.

Jan Koprowski

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

TRADYCJA GINIE

Hej, bywały wybory — mówi pan Biedronka
i łezka sentymentu w oczach mu się błąka,
— przed kościołem, po sumie, po kolei gadał
piastowiec po endeku do chłopów z pradziada.
Zaś karczma wprost kościoła, na ścieżaj otwarta:
dla tego półkwaterek — dla tamtego kwarta,
a dzisiaj ta tradycja została na boku...
— Panie Biedronka, dziś nikt nie tumani chłopów.

„MĄDRY" SOŁTYS

W gminie Bratoszewice, w gromadzie Oset,
jest sołtys, mądry iście jak Salomon,
krótko po rozum do głowy poszedł,
a głowę tęgą ma — wiadomo.
— Państwu odstawić zawsze coś trzeba —
hej chłopy, śpieszyć się, duchem!
Ja zaś, no wiecie — sołtys — nic nie dam.
Gromada chwyta głos jego uchem
i jest na ostatnim miejscu ze skupem.
. . . .
Losie, chrońże nas od sołtysów takich,
z których się cieszą trutnie i kułaki.

PIOTR PIGWA

Kiepski węch...

NIM przystąpimy do rzeczy zmuszeni jesteśmy zająć stanowisko w interesującym sporze, który podzielił gromadę Podrzecze na dwie równe części. Wydarzyła się tam ostatnio bardzo nieprzyjemna historia. — Jan Socha nie zapłacił podatku a pieniądze miał, lecz przepuścił. Narazie tyle, będziemy mieli jeszcze okazję napisać w jakich to się stało okolicznościach.

I teraz sprawa taka: jedni powiadają, że wina spada głównie na samego Sochę, który nie posiada węchu. Gdyby bowiem posiadał — podatek dawno by zapłacił. A dlaczego — czytajcie uważnie dalej. Drudzy natomiast twierdzą, że winna jest tu szatkownica po którą wyprawiła nieszczęsnego Jana jego rodzona żona. Przekonacie się dlaczego to nie byłoby kłopotów z podatkiem, gdyby Sochowie mieli własną szatkownicę.

Obie zaś strony zgadzają się co do tego, że oliwy do ognia dolała sama Sochowa, kobieta wyjątkowo okrutna. Ona to popchnęła męża swego Jana do takiej rozpaczy, że nie wiedział co czyni. A co uczynił — o tym potem.

Nasze zdanie jest zupełnie inne. Uważamy mianowicie, że obok samego Sochy winni są: stara Pikutkowa, kułak Ciepluch i „gruby" średniak Socha Antoni.

Oczywiście, zdajemy sobie w pełni z tego sprawę, że zajmując trzecie stanowisko będziemy musieli przedstawić naprawdę mocne argumenty. Ledwo bowiem wypowiedzieliśmy nasze zdanie już spotkaliśmy się z zarzutem — „wy nic, ino politykę wszędzie węszycie".

Tak więc posłuchajcie całej sprawy od początku.

Sochowa naznosiła do chałupy kapusty i zwróciła się do Jana z następującą prośbą:

— Leć migiem po szatkownicę do Cieplucha, bo się przez tę kapustę obrócić nie można. Czego się kręcisz jak nie powiem co i w czym (Sochowa powiedziała jak co i w czym, lecz nie podajemy tych szczegółów, by nie być posądzonym o naturalizm). Jak cię rąbnę tasakiem to z trepów wyskoczysz!

Opisujemy sytuację z mikroskopijną dokładnością. Socha sięgnął do szafy, wyjął z niej stary „Kalendarz Rolniczy", gdzie stroniczka za stroniczką leżały równo poprzekładane setki i pięćdziesiątki. Pod bacznym okiem odliczył około 600 złotych i oświadczył spokojnie:

— Przy okazji wstąpię do Gminnej Rady, to podatek się wyrówna.

Widzimy więc, że słowa małżonki nie podziałały na niego deprymująco. Bo — jak ludzie mówią — nawet do trucizny można się przyzwyczaić, jeśli od młodu człowiek ją połyka. Argumenty przeciw Sochowej upadają. Nic także, jak dotąd nie wskazuje, że Jan miał jakieś złe zamiary.

Do Cieplucha nie można iść inaczej jak koło domu starej Pikutkowej. Byłby go Jan zapewne ominął, gdyby nie to, że akurat tu właśnie spotkał Cieplucha. Miałże go nie prosić o szatkownicę? A oto dosłownie ich rozmowa.

— Ciepluch, ogromniem rad, że was widzę, bo mnie stara akurat po szatkownicę posłała. Użyczycie, co?

— Jakżeby nie użyczyć rodzonemu kumotrowi? A bierzcie i szatkujcie, co tylko się wam podoba, choćby nawet i waszą starą.

— Kiedy moja taka koścista, że żelazo stępisz.

Po co ta rozmowa? — zapytacie. A potrzebna, wskazuje bowiem na to, że Socha wcale się starej nie bał, a przy innych to nawet pyskował na nią ile wlezie.

Teraz zapoznacie się z historią węchu. Zaczął Ciepluch.

— A węch Socha macie dobry?

— Dobry, jak stara moja nadchodzi poczuję zza siódmej rzeki.

— Stańcie prosto nosem na lipę Pikutkowej, czujecie co?

— Dalibóg nic.

— No to chodźmy do Pikutkowej, muszę was przekonać, że słaby u was węch. Szatkownicy na plecach nie noszę, podatek nie ucieknie.

I poszli. Akurat babcia Pikutkowa wygłaszała sakramentalne zdanie:

— Mego męża nieboszczyka wszyscy znali. W tych pokojach od frontu, gdzie teraz przedszkole założyli i zmuszają dzieci do jedzenia, mielim sklep, śledzie tam byli i baleron wędzony...

No cóż, okazało się, że Ciepluch ma rację. Aż biły zapachy tytoniu, kiszonych ogórków, kiełbasy a nade wszystko obficie rozlewanej monopolki. Podskoczył do przybyłych jeden z „grubszych" średniaków Socha Antoni i zaśpiewał:

Wy Socha i ja Socha
A nas Sochów Pan Bóg kocha...
I stało się...

Powiadają, że Socha winien, bo nie miał węchu. No a gdyby miał? Czy zmieniło by to zasadniczo sprawę? Na pewno nie. Przecież poszedł po szatkownicę i dlatego uzależniony był od Cieplucha. A szatkownicę, jak się niedługo przekonacie, przyniósł. A więc nie węch tu winien i nie szatkownica. A nawet i Socha nie tak wiele. Jakby bowiem nie było, zjawił się w GRN po kilku godzinach.

Trafił na moment zebrania. Obradowali zastępca przewodniczącego Karolczak, sekretarz Miętus i delegat z PRN Rawa Mazowiecka, przybyły tu — jak wskazywała delegacja służbowa — po linii podatków. Siedział także i sam pan Sulimierski z Wydziału Oświaty i Kultury, ten co to każdego tygodnia jeździ na film do Łodzi, by chociaż tym sposobem podnieść kulturę w Podrzeczu. Do innych sposobów nie doszedł jeszcze.

Stanęli akurat sprawdzając zaległości przy Sosze Janie, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie. Nasz bohater wyglądał dosyć osobliwie. Oczy nieco przymrużone, gorzały wszakże blaskiem, z baranicy ściekała brudna woda. Przewieszona przez plecy szatkownica czyniła z niego jakiegoś przedwiecznego myśliwego. Pierwszy odezwał się pan Sulimierski (z tego właśnie powodu wprowadziliśmy go do akcji).

— Śnię czy co, toć to dzielny Wilhelm Tell z kuszą!

— Jaki Tell, co ty tu ze swoją kulturą, Janek Socha schlany na amen.

Z kolei przemówił sam główny bohater.

— Dawajta kwit za podatki, szatkownica już jest, ino szybko, bo stara się pewno doczekać nie może.

— Jaki kwit? Nie zapłaciłeś ani grosza mimo wezwania!

— Jak to nie zapłaciłem, skoro pieniądze z domu wziąłem a szatkownicę przecież niosę.

Zastanówmy się poważnie. Przede wszystkim zwraca naszą uwagę fakt, że Socha cały czas chciał zapłacić, a co więcej — miał nawet przekonanie, że zapłacił. Rzadki to objaw rzetelności. I jeszcze jedno. Musiano chłopa wyprowadzić z urzędu. Czynił to osobiście Karolczak. Po drodze stała się rzecz nieoczekiwana, która rzuca nowe światło na całą sprawę. Socha stanął przed domem Pikutkowej, niczym koń przed stajnią i ani rusz nie chciał dalej iść. Powtarzał tylko:

Tum pił i tu tańcował
Tu też będę ja nocował

I wdarł się do wnętrza. Akurat sumitowała się babcia Pikutkowa przed milicjantem. Mówiła właśnie, że u niej wódki ani na lekarstwo, kiedy zjawił się nasz bohater, demaskując ostatecznie spekulantkę. Jest to czyn tak dalece pozytywny, że w jego świetle zgoła inaczej wygląda zarówno sprawa węchu jak i szatkownicy. Pełnią one, wbrew temu co mówi wielu, funkcję dodatnią, są elementami zwycięstwa nad Pikutkową. Popatrzmy jeszcze z punktu widzenia prawnego na osobę Sochy. Czy ktoś, kto stanowi żywy dowód winy, może sam być winny? Na pewno nie. Dlatego częściowo nieszczęśnika uniewinniamy, skazując go na terminowe spłacenie podatku.

Nasze rozumowanie, jak sami zauważyliście, polegało na eliminowaniu, poszczególnych elementów sprawy. Któż zatem pozostał jeszcze na placu? Ano właśnie Ciepluch i Socha Antoni.

Jesteśmy tak dalece pewni swego rozumowania, tak jasno widzimy wrogą demoralizującą robotę kułaka i jego poplecznika, że nie wahamy się raz jeszcze stwierdzić, że sprawa miała podłoże polityczne.

Wierzymy ponadto, że gromada porzuci szatkownicę i węch a idąc podobną do naszej drogą wyeliminuje jeszcze z życia gromady obu szkodników, bo węch trzeba mieć, w ę c h p o l i t y c z n y...

Piotr Pigwa

BOGDAN WOJDOWSKI

Spotkanie z Dickensem

ZŁY ojczym wypędza Dawida Copperfielda z domu w czarnym surduciku. Dziesięcioletni Dawid zarabia na życie myciem butelek w Londynie. Zatrudnia go wielki dom towarowy do handlu z Indiami — Murdstone i Grinby. Tutaj za sześć szylingów tygodniowo chłopiec z „middle class" ubrany w czarny surducik i sztywne spodenki poznaje niedolę angielskiego proletariusza.

Oto maksyma, którą daje Dawidowi pan Micawber: „Roczny dochód dwadzieścia funtów, roczne wydatki dziewiętnaście, czy dziewiętnaście i pół, rezultat: szczęście Roczny dochód dwadzieścia funtów, a roczne wydatki dwadzieścia i pół, rezultat: nędza". Jak widzimy aspiracje drobnomieszczanina angielskiego z epoki wiktoriańskiej nie są wygórowane. Praca dzieci jest rzeczą naturalną i naturalny podział na biednych i bogatych; źródłem nędzy są zaburzenia w budżecie, a nieszczęściem młodych chłopców jest zły ojczym. Ale mimo złudzeń i wbrew ograniczeniu — Dickens stworzył w „Dawidzie Copperfieldzie" obraz sponiewieranego przez kapitalizm dziecka. „Dawid Copperfield, albo o zatrudnianiu nieletnich w kapitalizmie" — tak mógłby brzmieć tytuł tej wielkiej, wstrząsającej powieści, która w swoim rodzaju nie ma równej w literaturze.

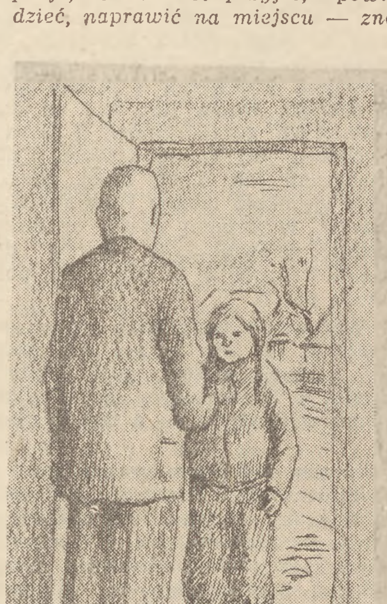
Przywileje młodego pokolenia w społeczeństwie, dostęp do nauki, możność awansu i pole dla aspiracji zawsze były probierzem humanizmu ustroju. Humanizmem naszych czasów jest socjalizm.

Było to pewnego listopadowego wieczoru w małym powiatowym miasteczku Sławno. Rozmowa toczyła się w wydziale personalnym powiatowego komitetu partii. Muszę przyznać, że kierownik personalny zrobił na mnie wrażenie człowieka o oschłym charakterze i kategorycznym sądzie, tym bardziej zaskoczyło mnie wydarzenie, o którym pragnę napisać. Rozmowa dotyczyła korespondentów. Przy okazji wysłuchałem wielu gorzkich uwag pod adresem niektórych redakcji — i ich metod pracy z korespondentami.

— Wy tylko zważacie na to, jak kto pisze...—Tutaj zrobił pauzę, jak gdyby zastanawiał się dopiero nad tym, co chce powiedzieć — ...a my zważamy na to, co kto robi. Musicie więcej dbać o to, aby wasi korespondenci byli terenowymi działaczami.

— A Franek Śnieg?

— Jeden Śnieg nie robi zimy. A faktem jest, że korespondenci często stają się bezpłodnymi krytykarzami. Zajrzy taki przez szparę do sąsiada i lu! pismo do redakcji, leży mu coś na wątrobie i żółć psuje, to zamiast przyjść, powiedzieć, naprawić na miejscu — znowu wyręcza się redakcjami. Wy znów nas monitujecie ażeby sprawdzić, a nas nagła krew zalewa, że sprawy które sami możemy w swoim zakresie rozwiązać i które rozwiązujemy, wędrują w te i we wte w kopertach do Warszawy i z powrotem...



Rys. Bimali Horska

W tym momencie przerwał mu telefon; wyszedł i dość długo nie wracał, a potem już nie było czasu nawiązać przerwaną rozmowę.

Personalny uwieszony przy telefonie zaczął po kolei łączyć się z prezydium powiatowej rady narodowej i wydziałem szkolnictwa. Nieuważnie słuchając chwytałem pojedyncze zdania: chodziło o miejsce w bursie dla kogoś, o skierowanie do szkoły i stypendium. Dopiero gdy do pokoju weszła Maria Cicha, poznałem całą przyczynę zaaferowania personalnego kierownika.

W drzwiach stanęła niska dziewczyna w gumowych butach i watowanych spodniach. Z rozmowy dowiedzieliśmy się, że ma 14 lat i ukończyła dopiero 5 klas, że chce się uczyć a w domu się zaharowuje, że macocha ją biła więc uciekła — i przyszła wprost do komitetu powiatowego. „Poślijcie mnie do szkoły, chcę się uczyć" — oto z czym przyszła do powiatu Maria Cicha z Nowego Pieńkowa. Nowy Pieńków leży 18 km od Sławna. Ale droga, która wiodła czternastoletnią dziewczynę od macoszej chałupy, gdzie pełniła rolę popychadła aż do powiatowego komitetu partii, gdzie ufała, że otworzą się przed nią drzwi do nauki i gdzie otwarto przed nią perspektywy ludzkiego życia — jest o wiele dłuższa.

Jesteśmy u początku drogi awansu upartej dziewczyny wiejskiej, która nie mogła znieść ogłupiającej pracy i porzuciła rodzinny dom.

Stary Dickens, który ze szczególnym upodobaniem kreślił w swych powieściach koleje dziecięcych losów, życzliwość dla swych młodziutkich bohaterów okazywał w ten sposób, że wynajdywał biednym sierotkom zacnych a nade wszystko z a m o ż n y c h k r e w n y c h. Maleńka Dorit i Dawid Copperfield byli zdani na łaskę przypadku — w ustroju ówczesnym sprzysięgli się przeciwko nim złe macochy i policjanci, fabrykanci i źli ojczymowie. Przeciwko nim były prawa i instytucje.

Za kilka lat Maria Cicha przeczyta sobie Dickensa. Myślę, że go dobrze zrozumie, lepiej niż ktokolwiek inny, chociaż znajdzie niewiele porównań między swoim życiem i losem Dorit. I na pewno nie będzie rzewnie wspominać kierownika personalnego tak, jak wspominają swych bogatych krewnych bohaterowie Dickensa. Będzie za to pamiętać o p a r t i i.

Bogdan Wojdowski

Korespondencja

List do Seweryna Skulskiego

TOW. SKULSKI! Czytałem Wasz artykuł pt. *„Postępu nic nie wstrzyma"*. Piszcie w nim między innymi, że nieprawdą jest twierdzenie jakoby dla spółdzielni trzeba było wpierw wychować człowieka, a później ją zakładać... nie człowieka dla spółdzielni będziemy najpierw wychowywać — dodajecie — ale spółdzielnia sama go sobie wychowa.

— Słusznie! Cieszę się, że doszliście do przekonania, że czekać nie można przemienionego człowieka bez przemian samych, że roboty nad spółdzielnią nie należy odkładać, że bez spółdzielni nie zbudujemy socjalizmu w Polsce. Cieszę się tym bardziej, że Wy sami pół jeszcze roku temu sądziliście inaczej. Mówiliście wtedy tak: „W lipnowskim jest 13 spółdzielni ale nie powstały one na dobrych zasadach, sytuacja do założenia musi dojrzeć, chłop musi się przekonać, bo tyle lat był oszukiwany trzeba go najpierw wychować itd. itd."

Przytaczam te dawne błędne mniemania tylko dlatego, że chcę podkreślić radykalny przełom, jaki zaszedł w Was, różnicę pomiędzy Waszym starym sposobem rozumowania a obecnym.

O słuszności poglądu, który wyrażacie obecnie przekonały Was fakty, które działy się i dzieją u nas w powiecie lipnowskim. Widzieliście jakie skutki przynosiło „czekanie, aż się chłop wychowa". Spółdzielnie, które już były, rozlatywały się, a nowych nie organizowaliśmy — nie można przeginać pałki, tak się oficjalnie usprawiedliwiało ówczesną bierność. Był to fałszywy wniosek, wyciągnięty ze sprawy grygryfickiej. Dobrze, że sytuacja taka nie trwała długo i że nie czekając aż chłop się wychowa, wzięliśmy się znowu za robotę. Bo czy znaczy to, że spółdzielnie, które u nas powstały ostatnio, zorganizowane zostały metodą administracyjną? — Nie! Nie powstały one jednak również same — z czekania, aż się „chłop wychowa". Do spółdzielni chłopa pokierowała — przekonywając, ucząc i wspomagając — partia. Sami piszecie, że zmieniło się życie na wsi, że pochodem idzie *nowe*. A nowym trzeba kierować. Bo właśnie ono w chłopie rośnie i wówczas kiedy nawet dobrze o tym nie wie. Pielęgnując je i umiejętnie kierując osiągamy między innymi spółdzielnią produkcyjną.

Skoro jesteśmy wspólnego zdania — trzeba wziąć się do roboty. Wy sami wiele tu możecie zrobić. Nie koniecznie w swojej gromadzie, u Was na Runkach rzeczywiście sytuacja jest nie najlepsza i robota tak łatwo nie pójdzie, ale rezygnować nie można. Można za to z powodzeniem zacząć pracę nad organizowaniem spółdzielni, sąsiadujących z Wami gromadach, w tej samej gminie Jastrzębie. Teraz nie straszy już chłopów spółdzielnia w Wielgiem. Dziś gospodaruje ona dobrze. Pierwsza w powiecie wykonała plan skupu. Takie spółdzielnie, które powstały ostatnio, są dobrym przykładem dla chłopów.

Tow. Skulski, pomóżcie Komitetowi Powiatowemu. Dajcie i ten przykład, że kto rozumie prawdę, czynem jej dowodzi.

Franciszek Pudłowski
Lipno

Gazetka gminna

Straszna przygoda

Przyszli do nas bladzi i wystraszeni artyści Artosu.

— Przeżyliśmy straszny wieczór w świetlicy PGR w Nieprowicach pow. Pińczów.

— Co się stało — pytamy. — Czy dzieci napchały wam do trąb plew i piasku.

— Gorzej.

— Czy miejscowy zespół odebrał wam instrumenty i próbował urządzić koncert na własną rękę.

— Gorzej.

— Czy zastaliście w świetlicy pijaków, którzy prosili was na jednego (bo i tak czasem bywa). Czy może trafiliście na wesele kułackie.

— Co tam wesele, gorzej, towarzysze. Słuchajcie! Zajeżdżamy do Nieprowic trochę późno, ale samochód się zepsuł. No, ale dopiero ósma godzina była. Pytamy o świetlicę, pokazują nam, więc idziemy. Nawet otwarta była, tylko ciemno... wnosimy swoje pudła i przybory, rozkładamy się po omacku.

Nagle jedna koleżanka krzyknęła przeraźliwie. Okazało się, że namacała przypadkowo czyjąś gołą nogę... tak jest... towarzysze, najprawdziwszą, trochę zimną, spracowaną nogę, z dawno nieobcinanymi paznokciami. Początkowo nas posądzała o takie żarty. Przekonaliśmy ją jednak, że wszyscy jesteśmy w butach, a poza tym rzeczona noga znajdowała się niedwuznacznie w pozycji leżącej. W tym momencie ja sam potknąłem się o czyjeś buty i ze zdumieniem poczułem, że spoczywam na łóżku w objęciach jakiegoś ognistego staruszka z brodą ostrą jak druty. „Ratunku"! — krzyknąłem.

Kolega Kajtek, ten od puzonu, zaczął trąbić przeraźliwie na alarm. Na ten głos świetlica zaroiła się nagle zjawami w białych koszulach, biegającymi tam i nazad z okrzykami przerażenia. Truchleję ze strachu. „Kajtek, ratuj" — krzyczę — „duchowne zjawy".

Kajtek chcąc się przekonać o „duchowności" zjaw zdzielił jedną puzonem po krzyżu, w odpowiedzi na co zjawa przypomniała mu po łacinie jego genealogię. Okazało się wtedy, że to istota z kośćmi i mięsem.

Wreszcie wpadł dyrektor PGR ze światłem i reszta rzeczy się wyjaśniła. Wyszło na jaw, że świetlica została zamieniona na sypialnię i stołówkę dla robotników sezonowych. Hm, nawet nie wypadało się złościć, bo to przecież wyraz troski dyrekcji o sprawy bytowe robotników. Jednego tylko nie zrozumieliśmy: w pobliżu od pół roku stoją wolne dwa mieszkania dla robotników, a w świetlicy dalej rozlega się chrapanie i... brzęk garnków. Tuż pod portretem Adama Mickiewicza. A... nieładnie.

Anatol Pokrzywa

„Poradnik Rolnika"

W końcu bieżącego roku ukaże się w zwiększonej objętości (240 stron) „Poradnik Rolnika" — Kalendarz ZSCh na rok 1953.

Poradnik będzie zawierał ciekawe prace ponad 100 autorów.

Biorąc pod uwagę wypowiedzi czytelników nadesłane do redakcji „Poradnika Rolnika" oraz odpowiedzi na ankietę czasopism chłopskich w sprawie Poradnika, wprowadzono szereg zmian i uzupełnień do treści.

I tak Poradnik Rolnika na rok 1953 będzie miał znacznie szerszy i bogatszy dział fachowo-rolny, oraz poradnictwo gospodarcze. Duże korzyści przyniesie czytelnikowi bogato ilustrowany Dział Radziecki, zawierający ciekawy opis wszystkich republik Związku Radzieckiego. Poza tym w Poradniku zamieszczony będzie słowniczek wyrazów trudniejszych, a często używanych w artykułach i książkach.

Niezależnie od tego, w Poradniku tak jak co roku znajdzie czytelnik omówienie ważniejszych dat historycznych oraz aktualnych zagadnień z kraju i zagranicy. Ponadto redakcja zamieszcza w Poradniku życiorysy wielkich synów narodu polskiego wraz z ilustracjami.

Nagłe zasłabnięcie działacza

Wielkie mieliśmy zmartwienie, proszę gazetki, u nas w Łukowie pow. Biłgoraj. Obsunął się nasz czołowy aktywista Józef Wenek. Kto by się spodziewał? Taki silny człowiek i obsunął się! A szkoda! Nie po to zrobiliśmy go przecież prezesem Zarządu Gminnego ZSCh, członkiem Gminnej Rady Spółdzielczej, członkiem komisji rewizyjnej PZGS, wykładowcą szkoły politycznej, członkiem Gminnej Komisji Oświaty, przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego, członkiem Zarządu Powiatowego ZSCh, delegatem na gminny zjazd delegatów GS, na taki zjazd powiatowy, wojewódzki i na kongres „Samopomocy", nie licząc innych pomniejszych członkostw w siedmiu organizacjach społecznych — żeby się obsuwał i plamił dobre imię naszej gminy, popełniając czyny, za które musimy czołem świecić.

Najpierw to było tak. Wszyscy wymłócili, zaorali i zasiali, tylko Wenek u siebie nie. Parę biedniackich morg ma i tak się zaniedbał! Skrytykowaliśmy go więc w różnych pionach organizacyjnych: — „Powinieneś świecić przykładem, a ty co? Zboża nawet na skup nie oddałeś".

Nazajutrz od rana dzwonki i bieganina po całej gminie. Dzwonią z GS-u i PZGS-u, z Zarządu Powiatowego i z Gminnej Rady Spółdzielczej i z Komitetu Gminnego goniec i ze szkoły posłaniec.

Gdzie jest Wenek?

Nie ma go ani w GS ani w PZGS, ani w Zarządzie Gminnym ZSCh, ani w Komitecie, ani w Gminnej Radzie, ani w Powiecie, ani w siedmiu pomniejszych organizacjach społecznych, których jest członkiem.

W końcu nauczyciel nieśmiało zaryzykował pytanie. „A może Wenek jest u siebie?" Nie bardzo chcieliśmy wierzyć — ale dla przyzwoitości zajrzeliśmy. Okazało się, że Wenek był rzeczywiście u siebie. Coś podobnego! Wyobraźcie sobie: m ł ó c i ł!

Od razu w różnych pionach organizacyjnych krzyk się podniósł. Rzucili się na niego prezes GS-u, kierownik szkoły, przewodniczący komisji oświaty i gminnej rady spółdzielczej, tudzież prezesi siedmiu pomniejszych organizacji społecznych, których był członkiem i dalej ciągnąć go każdy w swoją stronę. Na szczęście wmieszał się sekretarz Komitetu gminnego i powiedział: nie szarpcie biednego chłopa. Nie można przecież tak bezplanowo... współpraca działaczy w różnych pionach organizacyjnych powinna rozwijać się harmonijnie. Wenek obsłuży wszystkich po kolei.

Ułożono harmonogram.

O dziewiątej rano (według harmonogramu) zabrał go na posiedzenie zarząd ZSCh. O jedenastej przyszli po niego z GRN i trzymaliby go u siebie do wieczora, gdyby o czternastej nie wyciągnął go kierownik na zebranie komitetu rodzicielskiego. Zebranie komitetu uległo nieprzewidzianemu przedłużeniu, ponieważ Wenek omyłkowo zabrał się do wygłaszania przemówienia o hodowli bekonów. Upłynęła godzina, zanim się zorientowano, że mówi niestosowne do okoliczności i zwrócono mu uwagę, że to jest zebranie komitetu rodzicielskiego. Ledwie się Wenek połapał o co chodzi, wpadł na salę zadyszany sekretarz komitetu gminnego.

— Towarzyszu, a toście się zasiedzieli, Marsz na seminarium... dwudniowe w powiecie.

Wtedy nastąpiła rzecz najstraszniejsza — nagłe zasłabnięcie działacza. Wenek obsunął się w ręce sekretarza. Sekretarz nie uległ jednak depresji, zabrał ciało towarzysza Wenka i dostarczył je w terminie na seminarium do komitetu powiatowego

Tutaj jednak spotkało go rozczarowanie. Towarzysze z komitetu nie pochwalili jego gorliwości. Dlaczego? To zrozumieliśmy dopiero na wykładzie o zagadnieniu gospodarowania kadrami na terenie gminy. Ciało Wenka służyło tam jako materiał poglądowy dla zilustrowania kwestii: „Jakie szkody wynikają z obarczania jednego działacza funkcjami, których mimo najlepszej woli udźwignąć na raz nie jest w stanie".

Antoni Bobek

Jeden litr mleka

Czy człowiek nazwiskiem Płaczek mógłby nie narzekać? Nad tym zagadnieniem zastanawiali się długo i często ojcowie gminy Majaczewice, pow. Sieradz (woj. łódzkie), gdy przyszło im rozmyślać nad sprawami odstaw wsi Tyczyn. Byli pewni przynajmniej jednego. Że Płaczek nic nie odstawi a co więcej napisze do nich podanie, skarżąc się na cały świat, który stoi na przeszkodzie jego osobistego szczęścia.

Ponieważ ongiś przed laty Płaczek chodził do szkoły, gdzie nauczył się czytać i pisać, więc nie zaniedbywał okazji, by wszystkim, a szczególniej Gminnej Radzie Narodowej przypomnieć o swych umiejętnościach. Pisał, że jest w ogólności zmarnowany, a ziemniaki to mu susza spaliła na popiół niczym ulęgałki wsadzone przez pastuszków w ognisko. Kreśląc słowa odwołania Płaczek z wściekłością wspominał rok ubiegły, kiedy płacił karę za nieodstawianie dostaw. Twarde są dzisiaj serca ludzkie! Przed wojną na widok Płaczka rozjaśniały się twarze a teraz dla człowieka żadnych względów nie mają. Czy on nie odstawia mleka? I to w dodatku codziennie? Świadkiem może być ten, na kogo spada obowiązek podwody. Niech on poświadczy przed Gminną Radą, że ob. Płaczek Jan codziennie od dwóch krów 1 litr mleka do zlewni w Brzezinie odstawia. Aby porządek był, to nawet butelkę na ten cel przeznaczył. Za jego wzorem idą inni: Dobrowolski Stanisław, Owczarek Władysław, Nowak Ignacy. Ażeby jednak nie wpadło w podejrzenie, że jest we wsi jakaś „kułacka zmowa", więc jeden nie odstawia żyta, drugi ziemniaków, a wszyscy — mleka.

Najgorsze to jednak, że Gminna Rada ciągle kiwa ze zmartwienia głowami, zamiast zwyczajnie uderzyć pięścią w biurko, by odgłos tego uderzenia doszedł do chałupy Płaczka w Tyczynie! Jak długo mają być robotnicy z miasta nabijani przez Jana Płaczka w butelkę... od mleka? Już sąsiadom znudziły się drwiny kułaków, więc za naszym pośrednictwem przesyłają im „serdeczne" życzenia, by Płaczek naprawdę za to wszystko nie zapłakał gorzkimi łzami.

Jan Klonowicz

Straszny sen kierownika

Wczoraj przybiegł do nas do gminy kierownik PGR-u w Rudołowicach (pow. Jarosław) z gardłem zawiązanym i kichając oświadczył: „Zróbcie zebranie, poruszcie komisję, jaką potrzeba, ...ten pałac, wiecie... postanowiłem wyremontować i wasza urzędowa pomoc jest mi potrzebna".

Zdziwiliśmy się bardzo, bo dotąd, ile razy-śmy o tym mu przypominali, zawsze wymawiał się i odwlekał. Więc skąd mu się nagle odmieniło?

Ale zaczekajcie, opowiem po kolei. Jest u nas w Rudołowicach zabytkowy pałac, zbudowany sto pięćdziesiąt lat temu przez naszych przodków chłopów pańszczyźnianych. Dawniej mieszkali tam dziedzice. Teraz dziedziców nie ma, jest PGR. A pałac stoi pusty. Dlaczego? Jak powróciłem z wojska, też pytałem i nie mogłem się dowiedzieć? Ludzie na wsi mówili, że dlatego, bo w pałacu duch dziedziczki straszy, kierownik zaś PGR-u Komar mówił, że owszem trzeba go wyremontować, ale teraz są pilniejsze sprawy a pałac nie zając i nie ucieknie, a właściwie to nie jest on nam do szczęścia potrzebny.

Przyznam się, że z tych dwu tłumaczeń mądrzejsze jeszcze wydało mi się to tłumaczenie o duchu. Bo jak tu mówić, że pałac jest niepotrzebny, kiedy nasza szkoła ma tylko cztery izby a przydałoby się trzy razy tyle, kiedy nie mamy ani domu kultury, ani nawet porządnej świetlicy. Tak samo przydałby się PGR-owi, choćby na magazyn, budynek dawnej gorzelni, w którym brak tylko kawałka dachu i staw, który mógłby dawać korzyści po oczyszczeniu i ogrodzeniu a teraz tylko przynosi szkody, bo utopił się w nim niedawno pięcioletni chłopczyk Stanisław Hołupa.

Ale tłumacz to Komarowi. Jak już nie ma argumentu, to mówi: „co wam tak żal pałacu? Przecież to pałac pański, to niech z panami zginie, żeby ślad po nich nie pozostał".

Dlatego dziwiliśmy się, co mu się nagle odmieniło.

— Nie wiecie? — przymrużył oko Hajduk, który z Komarem czasami popija.

— To ja wam powiem. Komar sen miał. Przyznał się, że mu się duch pokazał...

— W butelce? — próbowałem zażartować, ale mnie uciszyli.

— Czyj duch?

— Nieboszczki Szczepańskiej, babki jego babki.

— Co wy powiecie?!

— Tak jest! Stanął przed nim ten duch i dalej że od najgorszych go wyzywać. „O co ci duchu chodzi?" — pyta Komar —„Jakto?! — klnie duch — to ja młodość moją zmarnowałam, w rękach kamienie na ten pałac nosiłam, patrz jeszcze mam ślady od bata ekonoma, a ty mówisz, że ten pałac jest pański i pozwalasz, żeby się moja praca krwawa zmarnowała? No to ja cię nauczę"!

I jak go podobnież nie wyrżnie w kark, a w plecy, wszystkie kości mu poobijała! Rano Komar się zbudził, gardło go boli, wszystkie kości łamią.

— Grypa — powiadacie — ano może i grypa. Ale swoją drogą, nieboszczka miała rację.

Więc teraz, gazetko, może się nareszcie ruszą u nas i wyremontują ten pałac. Nie wiele przecież potrzeba. Szkoda tylko, że aż duch musiał interweniować. A Gminna Rada nie łaska?

Mikołaj Bąbel

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-29539